

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów { na pocztach tylko 1 markę
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na poczcie w oddziale II, t. 86.

Nadesłane

50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Pojedynczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe

20 fen. od wiersza.

Uczmy dzieci po polsku!

Ksiądz Szambelan Wawrzyniak.

W dniu 11-go Sierpnia r. b. obchodził ks. prałat Wawrzyniak dwudziestopięcioletni jubileusz swej pracy kapłańskiej. Względy technicznej natury nie pozwoliły nam w dniu tym złożyć Szanownemu Jubilatowi na tem miejscu naszych najserdeczniejszych życzeń, a Czytelników pisma naszego poznać choć w krótkich zarysach ze wszechstronną działalnością zasłużonego dla Wielkopolski kapłana. Tem chętniej dziś ten obowiązek spełniamy. Zapewne niewielu by się u nas znalazło ludzi, którzyby, stając u pewnego okresu swej działalności, mogli z bardziej uprawnioną dumą spoglądać na wszechstronne owoce swej pracy koło dobra publicznego. Ks. prałat Wawrzyniak jest bezwątpienia jednym z tych nielicznych a tem droższych dla naszej ziemi ludzi, którzy na swych barkach w przeciągu długich lat dźwigali najróżnorodniejsze i najtrudniejsze obowiązki społeczne i narodowe, z zupełnym zaparciem się siebie, mając na widoku tylko bliźnich i swe społeczeństwo. Mało jest takich, powtarzamy, którzyby tak chlubnie pod każdym względem poddali tym obowiązkom.

Ks. Piotr Wawrzyniak pochodzi z rodziny włociańskiej i urodził się w r. 1849 w Wyrzece, w powiecie kościańskim, gdzie ojciec jego posiadał gospodarstwo. Nauki gimnazjalne odbył w gimnazjum śremskim, a złożywszy w 19 roku życia chlubnie egzamin dojrzałości, poświęcił się teologii i odbył kursa w seminariach duchownych w Poznaniu i Gnieźnie. Przeznaczony przez ks. Arcybiskupa Ledóchowskiego na nauczyciela projektowanego gimnazjum katolickiego, przy którym profesorami mieli być księża, udał się następnie ks. Wawrzyniak na akademię w Monasterze, gdzie słuchał nauk matematycznych i przyrodniczych. Walka kulturalna zmusiła go do przerwania

tych studyów. W roku 1872 otrzymał ks. Wawrzyniak za dyspensą papieżką święcenia kapłańskie. Lecz praca kapłańska jest tylko cząstką, i to drobną cząstką jego obywatelskiej działalności. Ks. Wawrzyniak przebywając długie lata w Śremie, nie ograniczył się na tem, że po-

wolał do życia wiele towarzystw filantropijnych i religijnych; — przez tego zajął się on gorliwie organizowaniem sił naszego ludu na polu ekonomicznem. Zarówno towarzystwa rzemieślnicze jak i związki zawodowe, spółki zarobkowe i wiele innych instytucji, które dziś są powszechnie uważane za podwalinę naszego istnienia — zawdzięczają byt swój za-
nemu ks. Patronowi.

Myliłby się jednak ten, kto by chciał sądzić, że praca, choć tak wszechstronna, w Śremie, wyczerpała jego siły. Nie Śrem tylko, lecz prawie całe Poznańskie nosi ślady jego pracy, której owoce tem są ważniejsze, że ks. Jubilat posiada wyborny talent organizacyjny i dzięki temu towarzystwa przez niego założone na trwałych opierają się podstawach.

Widzimy go około r. 1880 zajmującego się żywo sprawą zreorganizowania Towarzystw Przemysłowych. Uproszony przez ko-

mitet Towarzystw Przemysłowych, przyjął urząd Patrona czyli Opiekuna Towarzystw Przemysłowych w Poznańskim i Prusach Zachodnich. Niedługo jednak cieszyły się Towarzystwa Przemysłowe tą jego ofiarną i bezinteresowną pracą, gdyż po kilku miesiącach pracy został spowodowanym do złożenia tego urzędu.

Największem polem jego działania są Spółki Pożyczkowe, tu też spoczywa jego największa praca i tu zdobył sobie największe zasługi.

Po śmierci śp. ks. Szamarzewskiego ks. Wawrzyniak wybrany został — pisze w tej sprawie w „Porad



Ksiądz Szambelan Wawrzyniak.

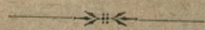
niku dla Spótek“ p. dr. Kusztelan — w roku 1891 na Patrona, tj. opiekuna Spótek. Urząd Patrona Spótek to nie tytuł piękny jedynie, to raczej ciężar obowiązków, to urząd pełen najmóźniejszej i najściślejszej pracy połączonej z wielką odpowiedzialnością wobec prawa i władzy z jednej strony, a z drugiej wobec całego społeczeństwa. Patron Spótek jest zarazem stróżem i sędzią, kontrolerem i ojcem Spótek. Czuwa nad porządkiem w Spótkach, daje rady i wskazówki, służy pomocą w trudnych okolicznościach, bada niedomagania i poucza jak je usunąć, wytyka błędy — wskazuje drogę do poprawy, gdzie potrzeba, gani i karci, to znowu staje w obronie, gdy niepowołani szarpiają dobre imię Spótek.

W roku 1894 został ks. Wawrzyniak wybrany z powiatów śremskiego, średzkiego i wrzesińskiego na posła do pruskiej izby deputowanej. Pobyt jego w Berlinie dał mu sposobność do zajęcia się emigracją polską; dołożył on wszelkich starań, aby nieść jej pomoc duchową, dawać wskazówki i popierać w kierunku praktycznym, a jakie znaczenie do jego działalności obywatelskiej przywiązują Towarzystwa polskie, niech tego dowodem będzie okoliczność, że zamianowały go swoim, niejako jeneralnym, prezesem honorowym. Trzeba znać oplakane stosunki, bezradność i obojętność religijną i narodową, jaka ogarnia bardzo szerokie koła naszej emigracji, aby umieć ocenić w przybliżeniu chociaż gorliwą i niestrudzoną pracę ks. Wawrzyniaka około obudzenia ducha narodowego i religijnego, doniosłość jego wskazówek praktycznych i jego usilnych starań o podniesienie dobrobytu wychodźców naszych. Dziełem jego jest założona przed dwoma laty kasa oszczędności „Skarbona“, służąca potrzebom naszych rzemieślników na obczyźnie; jego też głównie staraniami i poparciem zawdzięcza byt swój „Dziennik Berliński“.

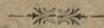
Kraj nasz umie ocenić szczerą pracę ludzi, którzy tylko dobro kraju mają na oku. To też dziś kraj nasz

cały wie, że imię ks. Szambelana Wawrzyniaka zapisalo się trwałemi głoskami w historii naszej lat ostatnich. Cały zabór pruski zna go jako niestrudzonego organizatora i Patrona naszych Spótek zarobkowych, jako obywatela, który wszystkie swe siły obrócił na to, aby dla naszego skolatanego społeczeństwa stworzyć silną podstawę materialną, nauczyć go oszczędności i wskazać drogę do dobrobytu.

Jubileusz jego był godnem uczczeniem zasług Szanownego Jubilata. Jednogłośnie, zgodnem echem rozległ się po całym kraju okrzyk: Ks. Wawrzyniak niech nam żyje! Niech pracuje jeszcze długie lata dla pożytku naszego społeczeństwa!



Na srebrne gody kapłańskie czcigodnego księdza Piotra Wawrzyniaka w Śrebie.



W serce narodu godzi wróg zażarty,
A przecież górą wieje sztandar nasz!
Zacny kapłanie!... Ty u bystrej Warty
Trzymasz od Boga ćwierćwiekową straż!

Dzielnieś Ty przetrwał od doby młodzieńczej
W pracy mozolnej szereg długich lat,
Słusznie Cię naród w dębowy liść wieńczy
— Na srebrne gody, boś nie odbiegł z czat!

Pozwól mi Ojczyźnie dalekiej, nieznannej,
Do tego wieńca jeden listek wpleść,
Głos mój połączyć w chór z Wielkopolaną,
Na Twą przezacny Jubilecie cześć!

Z ziemi wygnania

Paryż.

Severyna Duchńska.



Jak Maciek zdobył karabin na Moskalu.

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia
przez

Uczestnika powstania 1863 r.

Tabor z wąskiej uliczki wydobył się na rynek. Księżyc oblewał sennem światłem szare kamienice i białe domki; nigdzie żywej duszy. Miasteczko robiło wrażenie zaczarowanego, przeraźliwej pustki... Maćkowi z żalu za babą serce się ścisnęło. Gdyby tylko mógł przeczuć, gdzie jego Kaśka śpi, zbudziłby ją i wyściskał.

Minęli pikiety, staczając się na dół wielkim wawozem wśród tajemniczo-sennej puszczy. Konie radośnie parskały, żołnierze zapalili fajeczki, oficerowie gwarzyli wesoło. Nikt się nie bał w tej chwili.

— Dostę czasu na strach, gdy zjeżdżawa na wielki gościniec — odezwał się Bartek, bo i on nie dając się wyprzedzić Maćkowi, poszedł na ochotnika.

— Moskalowi las śmierdzi — zawołał Maciek.

Kosynierzy i woźnice w śmiech. Wyrażenie Maćka podobało się. Wesoły szmer przeszedł po całym oddziale.

— Śmierdzi Moskalom las — powtarzali chłopci na odwagę.

Maszerowano godzinę.

— Stój! — rozlega się przyciszona komenda. Oddział, wozy i ludzie zatrzymali się.

— Chłopcy, do Szydłówka klusem, broń w pogotowaniu. Naprzód marsz!

Podwójnym krokiem, bez przerwy posuwano się cicho. Z koni buchała para, a chłopom z pod baraniec pot ściekał po twarzach. Obcierali go sukmanami.

Na zakręcie drogi, na cichy rozkaz znowu stanęli.

— Koniom pyski poobwijać płachtami, fajki pogasić, iść cicho, dech w piersiach zatrzymać.

— *Słuchaj!* — rozległo się jęklliwe i długo, Echo je niosło, a głosy pikiet otaczających Szydłowic powtarzały.

Monotonny, podobny do jęku wrzask moskiewski zmroził naszych wiarusów. Jeden Maciek wyteżył słuch i uszami strzygł jak zając, szyję wyciągnął i węszył.

Kawaleria gęsiego skręciła na ścieżki, strzelcy otoczyli wozy, kurki podwodzili. Na skinienie dowódcy ruszyli. Posuwali się wolno i cicho. Słuch wyostrzony, wyteżony wzrok, nikt nie śmiał odezwać się szeptem. Maciek ścisnął kosę, oglądał się, myślał o karabinie i plany układał.

Skupieni, wóz przy wozie, strzelcy czwórkami wtoczyli się w wąską uliczkę Szydłówka. Szare domki patrzyły na nich zdziwione przez drobne szybki swych okien. Maciek zaczął kuleć, wysunął się z szeregu, siadł na przyzbie jednego z domków, zdjął but i onucę przewijał długo i wolno...

Wozy go minęły, oddział przeszedł, Maciek wstał, wyprostował się, zaśmiał

cicho, fajeczkę nałożył, zapalił, kosę oparł na ramieniu i wolno pociągnął drogą.

— Drogę do Szydłowca znam, ale nią przecież nie pójdę!... Żebyć jucho raz jeszcze zawył, tobym wiedział gdzie cię szukać!

Wyszedł z wioski, skręcił na prawo, zobaczył majaczące w świetle księżyca olszowe krzaki, poskoczył i wpadł w nie... Wily się wąskim brzegiem strumyka na wschód.

— Hoj, hoj! moje krzaczusie, jakbyście dla mnie rosły! — zawołał. — Maciek! wielki czas do roboty, bo gdy jeszcze raz kur zapieje to już po wszystkim.

Kosę ujął w rękę i pomknął żywo. Wiatr zwał śniegi z krzaków, ciężko mu było, lecz szedł bez wytchnienia.

— Był ino się przybliżyć — powtarzał, zapadając w śnieżne zasypy i gramoląc z nich.

— *Słuchaj!* — zawyło żałośnie. Wiatr pognał moskiewski jęk. Maciek stanął jak wryty, słuchał, patrzył.

Przed nim stał w dziwnym świetle za niebieskawą mgłą klinem wystający, ciemny las sosnowy. Z niego wychodził jęk moskiewski.

— Abo ty jucho nie będziesz się więcej dał na tym świecie, abo mnie święta ziemia zakryje — szeptał.

Olszowe krzaki, którymi ciągnął, zdawało mu się wpadały w las.

— Niemi do samego końca, a potem co Pan Bóg da!

Poszedł śmiało z postanowieniem czło

Praktyczne wychowanie naszych kobiet.

Śmiało rzec można, że skończyła się już epoka, gdy modnem było wychowywać nasze panny w ten sposób, aby tylko umiały paplać po francusku i grać na fortepianie. Dziś więcej się już zwraca u nas uwagę na stronę moralną wychowania, a prócz tego na wiadomości praktyczne. Dalekiem jest jednakże jeszcze wychowanie to od prawdziwie systematycznej metody kształcenia. W obronie naszej niechaj nam wolno będzie jednak powiedzieć, że nawet na zachodzie Europy teraz dopiero na seryo zaczynają zajmować się tą sprawą.

Na szczególną uwagę zasługuje szkoła gospodarstwa domowego istniejąca w Anglii.

Inicjatywę w tej sprawie dały w Anglii osoby prywatne, ale od początku swej działalności korzystały z gorącego poparcia całego wykształconego społeczeństwa, przedstawicieli świata arystokratycznego i finansowego, a głównie z opieki władz.

Pierwsza szkoła gospodarstwa domowego i gotowania powstała w Londynie 1872 roku staraniem grona osób i przy udziale księcia Westminsterskiego. Zasadą tej szkoły było rozpowszechnienie w społeczeństwie przekonania, iż kucharstwo jest nauką poważną, której rozwój przyczynia się do podniesienia dobrobytu. Od pierwszej chwili swego powstania szkoła wytrwale dążyła w kierunku raz obranym i dążenie to nie osłabło na chwilę w czasach ostatnich. Tem tłumaczyć się wielkie usługi, jakie oddała państwu i społeczeństwu. Szkoła co rok rozsyła setki nauczycieli i nauczycielek do rozmaitych posiadłości Anglii i obecnie już w wielu okolicach państwa pozakładano podobne szkoły, pracujące z wielkim dla społeczeństwa pożytkiem.

W samym Londynie pod nadzorem rady pierwszej szkoły normalnej gospo-

darstwa domowego pozostaje czterech inspektorów, 105 dyplomowanych nauczycielek i 21 pomocnic, które zajmują się nauczaniem około 25,000 dziewczynek w wieku szkolnym. Dalej istniejąca w Londynie komisya w celu organizowania wieczornych zajęć naukowych, postanowiła włączyć do swego programu kurs nauki kucharstwa i gospodarstwa domowego. Myśl tę przyjęło bardzo przychylnie społeczeństwo angielskie, które w ostatnich czasach zainteresowało się gorąco nauką zajęć, wchodzących do zakresu gospodarstwa naukowego.

Rezultaty, osiągnięte przez szkołę istniejącą w Anglii, powinny by zachęcić wszystkie cywilizowane kraje do popierania szkół i zakładów podobnych. Nie chodzi o to, aby zadanie kobiety upatrywać jedynie w jej t. zw. gospodarności, która wyklucza rzekomo wszystkie inne wyższe porwy; — chodzi raczej o to, aby w równej mierze uwzględnić jedno i drugie.

Wiele młodych panien wyobraża sobie dotąd, iż wystarczy wyjść za mąż, a wtedy instynktownie nabywa się umiejętności gospodarstwa domowego. Uniknąć takich fałszywych pojęć można tylko, wprowadzając gospodarstwo domowe do programu wszystkich średnich zakładów naukowych dla kobiet.

Dziś niemięszką sztuką od zarabiania pieniędzy jest umiejętność wydawania ich w sposób, przynoszący najwięcej pożytku. Sporządzić z najwyczejniejszych produktów pożywienie posilne, smaczne i zdrowe — oto umiejętność niezbędna dla młodych dziewcząt. Jest mnóstwo towarzystw rolniczych, wydających znaczne sumy na premie i medale, podczas gdy dla gospodarstwa domowego nie robi się prawie nic. Wszak dobra kuchnia jest jedną z podstaw życia rodzinnego. Gospodarstwo domowe to sztuka subtelna, związana z kwestyą gustu i rozwojem umysłowym.

Nie można chwalić tych gospodyń,

które, trzymając liczną służbę, stale siedzą w kuchni. Trzeba jednak, iżby tam zaglądały od czasu do czasu i wiedziały, co się dzieje. Jeszcze większe znaczenie ma umiejętność gospodarstwa domowego dla dziewcząt, zmuszonych zarabiać na chleb.

Są pewne obowiązki, które przypadają w udziale kobietom i trudno pojąć, jakim sposobem nawet narody, które osiągnęły wyższy stopień cywilizacji, tak mało do tej pory troszczyły się i troszcza o przygotowanie i zachęcenie kobiety do pełnienia tych obowiązków. Wychowanie zdrowych, zahartowanych i przedsiębiorczych dzieci stanowi przyrodzony obowiązek kobiety, a jednocześnie największą usługę, jaką człowiek może oddać swej rodzinie. Dla tego też rozwój w kobiecie myśli, umiejętności i cnót niezbędnych do spełnienia tego wszystkiego w życiu praktycznym jest kwestyą wagi ogólnopństwowej i wymaga pilnej opieki zarówno ze strony sfer rządzących, jak i całego społeczeństwa*).

*) Nie od rzeczy będzie przypomnieć tu, że polski zakład w rodzaju omówionych istnieje w Sremie pod kierunkiem p. Szczerbińskiej. Kuratorem zakładu jest IMci ks. Prałat Wawrzyniak.

POLITYKA.

Podróż prezydenta Faure'a wzbudza niezwykle zainteresowanie w tych kołach politycznych, które z zazdrością spoglądają na wszelkie objawy zbliżenia się rosyjsko-niemieckiego. Już nawet któraś gazeta niemiecka uważała za konieczne zaznaczyć różnicę w przyjęciu niemieckiej a francuskiej floty. Niemiecy marynarze bowiem otrzymali od miasta Petersburga po pudełku cygar, francuscy zaś otrzymują do tego i pierniki.

wieka wierzącego w przeznaczenie. Płazszczyzna wznosiła się w górę, zasypany śnieg był twardy. Maciek nasunął baranicę na oczy, kosę ścisnął w rękę, zęby zacinał, straszne myśli odganiał od siebie i gwał i gwał. Las się zbliżał, serce mu drżało, zimne poty na niego szły, on gwał z uporem i zawziętością.

Krzaki zrzedły, dwa stajania gołego pola i ciemny las. Księżyc ukośnie rzucał promienie srebrnego światła, łamiąc się na śniegu.

— Żebym miał białą świtkę, poleciałbym, bura sukmana okrutnie odbija przy miesiączku. Nie ma rady, trzeba czekać, aż zajdzie i skryje się.

Kosę oparł, ręce rozłaził, miał ochotę zapalić fajeczkę, lecz się bał.

— Niech się ino uda, wypalę trzy, jedna po drugiej... Dopieroż to Bartek będzie mi zazdrościł karabina. A niech po niego idzie, jak ja poszedłem. Ludzie będą się dziwować, starszyzna, wszyscy. A niech się dziwuje cały świat i niech wie, co Maciek może, kiej ino chce!

Umyslnie wydobywał z siebie najweselsze myśli, aby strach zdusić co mu chodził ciarkami po plecach i włos jeżył pod baranicą.

Księżyc się skrył za świętą ziemię, szarawa mgła otuliła śnieg, łagodząc jego białosć, zrobiło się ciemno, wiatr się od-

nalazł, przeciągnął po wierzchołkach drzew i załośnie jęczał. Maćkowi nadzieja rozgrzała krew, przeżegnał się, porwał kosę, przebiegł pędem odkryte stajania, wpadł do lasu — stanął.

Wiatr kołysał wierzchołkami drzew i z cicha pojełkiwał, tyle tylko, aby zagłuszyć chód Maćka. Odczuł tę łaskę i szepnął:

— Abo święty Józef, abo Najświętsza Panienska...

Uniósł w górę baranicę, wymawiając święte imię Panienki.

Spojrzał w las, słuchał, usiłując z poza jęków w górze dosłyszeć szmery na dole.

— Niema co! tu nic nie wystoje.

Poszedł w głąb. Czuł, że mu kosa zawadza, wbił ją do widoku w śnieg.

— Gdy już dojdę do Moskala tak blisko, że będę mógł kosą dziobnąć, to i rękami to samo potrafię.

Spotkał wydeptaną ścieżkę, zmiarkował, że prowadzi do miasta, a pewno na niej stoi ten Moskał, co się drze.

Poszedł nią kilkadziesiąt kroków, a potem skręcił.

— Jak ci mnie ujrzy, to strzeli... i choć nie trafi, wszystko przepadnie. Jeżeli podejść, to tylko od strony miasta.

Obchodził wielkiem kołem ścieżkę, skradając się od drzewa do drzewa.

Bronzowa jego sukmana przylegała do koloru kory, sosen i gubiła się. Oddech zapierał, czaił się jak lis, a słuchał z wystawioną naprzód szyją jak wilk.

Zobaczyl!

O kilkadziesiąt kroków stał Moskał oparty o drzewo. Nogi rozstawił, karabin trzymał pod pachą na dół bagnetem. Maciek nie wiedział, czy patrzy, czy śpi. Przyczaił się do sosny i urwaną gałęzią uderzył o pień. Moskał ani drgnął.

Chciał zdjąć buty, lecz czasu nie było. Z pochyłoną naprzód głową, delikatnie, próbując każdego kroku, jak to zwykle czynią koty, posuwał się bliżej do Moskala.

Stanął o dziesięć kroków na twardej ścieżce, nie mógł oddechać, ręce mu dżały, nogi się pod nim ugiwały. Jeszcze pięć cichych kroków i... naprzód!

Moskał się zbudził, nastawił bagnet, Maciek chwycił go ręką i jednocześnie lunawszy w pysk Moskala, powalił na ziemię, karabin wyrwał. Zamierzył się, Moskał padł na kolana, ręce złożył, szepcąc:

— Pardon, pomiluj Boh, pardon.

— Ja ci dam pardon — zaśmiał się chłop. — Dawaj ładownicę, zdejmuj buty.

— Zimno brat — skarżył się cicho.

— Zdejmuj — powtórzył Maciek.

Podczas wyjazdu prezydenta z Paryża zaszedł wypadek, którego ważność trudno ocenić słusznie, niewiadomo bowiem, czy zaliczyć go do poważnych niedanych zamachów, czy też do zwykłych fars operetkowych, obliczonych na wzbudzenie entuzjazmu tłumów. Oto bowiem w dziesięć minut po odjeździe Faure'a w pobliskim kiosku w pobliżu dworca kolejowego rozległ się huk dość znaczny. Stwierdzono, że musiała tam być podłożona eksplodująca petarda. Niedaleko od miejsca wybuchu znaleziono kawałki papieru ze słowami: „Niech żyje wolność! Niech żyje Polska!“ — Oczywiście „zamach“ ten jest dziełem jakiegoś umysłowo chorego maniaka.

Z febrycznym niepokojem śledzą francuskie gazety wszelkie objawy przyjaznych stosunków Niemiec do Rosji, o ileby one mogły być uważane za wynik bytności cesarza niemieckiego w Petersburgu. Niepokój swój stara się prasa francuska zamaskować w ten sposób, że dziś już z najdrobniejszymi detalami omawia wizytę Faure'a w Petersburgu. Program tej wizyty ma być następujący: Dnia 23 sierpnia przybywa prezydent do Kronsztadtu, gdzie go przyjmą przedstawiciele domu cesarskiego i marynarki. W godzinę po przybyciu prezydenta nadjeżdża cesarz Mikołaj ze swą swiatą. W otwartym powozie jada obaj do Peterhofu, gdzie prezydent złoży wizytę cesarzowej. Na drugi dzień odbędzie się przyjmowanie członków ciała dyplomatycznego i rady miejskiej, a prócz tego deputacyi od kolonii francuskich. Trzeciego dnia odbędzie Faure wspólną rewję wraz z parą cesarską.

Ceremoniał ułożony dla tej bytności prezydenta francuskiego w Petersburgu nie jest tak bliskim, jak przy wizycie cesarza Wilhelma, niemniej jest jednak serdecznym.

Niemiecka prasa przewiduje już niezmiernie owacye z jakimi spotka się bezwarunkowo prezydent, a które zaćmieć

mogą tak pod niebiosa wynoszone „petersburskie dnie“ cesarza Wilhelma; — to też nadrabia ona miną i pisze pyszałkowato, jak np. „Berl. Tagebl.“: „Największy nawet entuzjazm nie zdola zatrzeć wrazenia wywołanego bytnością cesarza Wilhelma“.

Opinia publiczna świąta paryskiego była niedawno niezmiernie poruszona sprawą pojedynku między hr. Turynu a ks. orleańskim, który w obrażający sposób wyrażał się o armii włoskiej. Co lepsza, pojedynek ten odbył się nawet w Paryżu, pod czujnym okiem policyi, która zapewniała, że niedopusi do pojedynku, a przeciwników odstawi do granicy! — Pełno gwaru na bulwarach paryskich, ogromne zainteresowanie ogarnęło tłumy, ciekawe szczegółów pojedynku, ten pojedynek bowiem odbył się — wbrew przyjętym we Francji zwyczajom — bez tłumy widzów, bez asysty dam, trzymających w jednej ręce lornetkę, a w drugiej trzeźwiące sole. Nawet brakło fotografa, który niezbędnym jest sprzętem dekoracyjnym w tej popisowej roli bohaterów dnia. Pojedynek odbył się w pobliżu Paryża, w lasku Vauresson. Walka była zaciętą, kilkakrotnie musieli sekundanci przerywać ją i rozłączać zapasników. Rezultat przychylny dla oręża włoskiego. Jakkolwiek hrabia Turynu odniósł lekkie rany, jednak ks. orleański został raniony daleko silniej, tak że niewiele co brakowało, a rana byłaby bardzo niebezpieczną, może nawet śmiertelną, jak mówią z komiczną powagą lekarze asystujący przy pojedynku. Ks. Henryk orleański był bardzo wzburzony, hrabia Turynu panował nad sobą i zdumiewał swą zimną krwią: temu też tylko zawdzięczać może swe zwycięstwo. — Nie zdaje się zresztą, aby rana ks. orleańskiego miała być tak niebezpieczną, jak rozgłaszają niektórzy korespondenci, chcąc podwyższyć romantyczność zajścia; ks. orleański bowiem był w stanie sam o własnych siłach wejść do powozu. Ranę opatrzone na miejscu.

W przebiegu układów pokojowych w Carogrodzie nie zaszło nic nowego. Turcy z wyszukaną grzecznością starali się obchodzić dzień urodzin cesarza austriackiego. Odbyło się kilka parad wojskowych i paradny obiad u sultana, którego gościem był poseł austriacki. Wskutek tego też odłożono posiedzenie ambasadorów na później.

Z Carogrodu donoszą, że policja znalazła bombę znacznej objętości przed główną dyrekcją policyi. Równocześnie w zabudowaniach banku tureckiego schwymano dwóch podejrzanych ludzi, którzy mieli przy sobie dynamit. Dalej donoszą, że w kilku miejscach słyszano wybuch, a pałac wielkiego wezyra został uszkodzony. Przypisują to Armeńczykom. W mieście panuje zupełny spokój. Bardzo być może, że jest to jedna ze zwykłych tureckich sztuczek politycznych, zapomocą których, sultan dąży do przedłużenia układów z Grecją. Podobno między Anglią a Turcją zaszły poważne nieporozumienia, które doprowadzić mogą do wystąpienia Anglii z „koncertu mocarstw europejskich“.

W położeniu wewnętrznym Niemiec niewiele się co zmieniło. Wciąż tylko ma prasa do czynienia z projektami powiększenia wydatków na flotę, wojsko, artylerję i t. d. lub z zamachem na obywatelskie prawa, zabezpieczone konstytucją. Przywódca centrum Dr. Lieber, kilkakrotnie konferował z Miquelem, który w pamiętnym dniu 24 lipca zaznaczył, że rząd starać się będzie o uzyskanie zwolenników we wszystkich stronnictwach parlamentarnych. Nie ulega wątpliwości, że tego tematu dotyczyły konferencye z drem Lieberem, a jeśli rozmowa była naprawdę szczerą i otwartą, to p. Miquel miał sposobność z pierwszej ręki dowiedzieć się o tem, co myśli katolickie centrum o dzisiejszym „systemie“ rządów. Przekonał by się p. Miquel, że liczyć rząd nie może na zbieranie stronników, lecz

Moskal w milczeniu ściągnął buty, kryjąc po za kolanem schowany galganek.

— Rzuć to! — krzyknął Maciek,

— Niczewo — zaśmiał się.

— Rzuć! — zamierzył się karabinem.

Moskal rzucił. Maciek jedną ręką podniósł i rozwinął. Na śnieg wypadły papierowe ruble. Schował je. Z poza moskiewskiego szynela wyjrzał żółty kozuszek.

— Dawaj kozuch! Strzelcy nasi w kozuchach.

Moskal zdjął naprzód szynel, a potem kozuszek i rzucił. Maciek przypasał ładownicę, spiął rzemyki od butów i przewiesił je przez szyję; wyjął ruble z kieszeni, piątkę włożył w zanadrze, a dwa położył na śniegu.

— Na wódkę za karabin — rzekł drwinkując. — Masz tu kozik i sznurek, żebyś se z szynela buty wykroił, sznurkiem obwiązał. A teraz jucho, jak się będziesz darł i starszyźnie powiesz, że jeden chłop, jedyny, golemi rękami odebrał ci karabin, buty i kozuch, to cie palkami zabiją!

Toczno tak — poświadczył wystraszony.

— Hałasuj, wrzeszcz i powiedz, że cie otoczyło pięćdziesięciu strzelców, ale wtedy, gdy ja będę w Szydłównku.

— Tak każetsia..

— Bądź zdrów!

— Praszczaj brat!

Maciek pomknął ścieżką. Co chwila się oglądał, a leciał jak opętany. Teraz dopiero strach latał mu po skórze i popędzał go. W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej kozuszek, poły od sukmany założył za rzemienny pas i gnał bez upamiętana.

Moskal widocznie usłuchał rad Macieka. Cicho było, nikt nie gonił. Dopiero gdy dotarł do pierwszych chat Szydłównka, trąbki zagrały na alarm.

— Grajcie do sądnego dnia i co mi zrobicie — wołał upojony radością i tryumfem.

Ominął karcznię z obawy przed szpiegostwem żyda, zszedł z drogi, rzucając się w stronę szarzejących lasów.

Gdy go skryły pierwsze krzaki, zwolnił kroku, odechnął całą pierś i zaśmiał się głośno. Był to śmiech szalu zwycięstwa.

— Gońcież mnie teraz całe wojsko z Szydłównka z kozuniami, ile was ino jest...

Podniósł karabin w górę i zatrząsał nim.

— Żeby tu Kaśka była, dziwowałaby się też dziwowała, rety, rety! Ale żeby, kiejem się z Moskałem tarmosił, przylecieli drudzy!...

Ciarki go przeszły i krew buchnęła do głowy.

— Kaśka nie widziałabyś już więcej swego chłopca i możeby go ludzkie oko więcej nie ujrzało... Ale kiej się udało, po co se przypominać... Las przyjmie otuli i do swoich zaprowadzi. Chłopstwo będzie się śmiać, Bartek będzie żył, a starszyzna będzie się cieszyć.

Stanął na wysokości i z kraja sosnowego lasu odwrócił się.

Przed nim w różowej jutrzence kąpała się wesoło wieża szydłowieckiego kościoła, murywane kamienice tuliły się do niej. Wielki gościniec przecinał miasto, leciał daleko na zachód i ginął. Małe domki Szydłównka okryte śniegiem drzemały.

— Tam, tam — szeptał Maciek — w tym klinie ciemnego lasu, odebrałem Moskałowi karabin, przeleciałem taki sztuk drogi i jestem tu.

Duma rozpierała mu serce, wargi mu drżały.

Na drodze do Szydłównka ukazał się pluton kozaków. Pędzili klusem, przez wieś pognali galopem, zatrzymując się przed karcznią.

Maciek się zaśmiał.

— Lećcie, gońcie, szukajcie, żyda spierzcie, abo go powieście, widziwajcie co chcecie i cóż zrobicie?... Gdyby ino kula doleciała, tobym do was chlusnął.

z gruntu zmienić musi cały kierunek i sposób załatwiania spraw publicznych.

Ani jeden głos z centrum — jak pisze „Corresp.“ — nie oddanym będzie na usługi rządu przy dzisiejszych warunkach. Ministerium musi zastosować się do uprawnionych żądań centrum w sprawie stowarzyszeń w kwestyi floty i reformy sądów wojennych, jeśli chce liczyć na poparcie centrum w sprawach ekonomicznych.

Opinia publiczna w Niemczech niezmiernie wzburzona jest tem, że rząd dotychczas nie przedsięwziął środków udzielenia pomocy poszkodowanym przez powódzie.

PRZEGLĄD PRASY.

Oddawna już nosi się jeden z tutaj-szych pół-uczonych pół-literatów z myślą wydania książki p. t.: „Prawda historyczna w pruskim oświeceniu.“ Mają tam być pomieszczone wszystkie fałszerstwa, jakich dopuścili się Prusacy na historii polskiej. Pod adresem więc tego pana notuję tu fakt ciekawy. W nowo zaprowadzonym w szkołach podręczniku historii czytamy w rozdziale o rozbiorach Polski:

»Rozbiory Polski nie były zaborem, ani złamaniem prawa międzynarodowego, jak zapewniają niezgodnie z prawdą niektórzy Polacy. Prusy musiały pospólu z Austrią i Rosją przystąpić do podziału, ponieważ Polska była pierwotnie krajem niemieckim. Tak samo jak Niemcy musiały zdobyć z powrotem wydartą sobie Alzacyę i Lotaryngię, tak samo musieli Prusacy zdobyć napowrót Polskę.«

Z tego powodu słusznie pisze „Słowo polskie“:

»Ze zaś w twierdzeniach podobnych jest nie tyle głupstwa, ile pewien system, dowodzi tego odczyt, wygłaszany w rozmaitych

miejsowościach przez płatnego agenta »hakatyzmu«, dr. Boventschena. W odczycie tym zatytułowanym: »Walka o kresy wschodnie« dowodził on, podług sprawozdania pism hakatystycznych, że Polacy nie posiadają rzeczywistych praw do zamieszkałych przez nich dzielnic (!) Lud polski, jak tego dowodzi barwa ich włosów i oczu, oraz inne oznaki, jest kельtycko-germańskiego (?), szlachta zaś wschodniego (żydowskiego) (!) pochodzenia. Gdybyśmy tego nie czytali w hakatystycznych organach, nie dowierzalibyśmy, aby p. Boventschen, mógł się dopuścić takiego nonsensu.«

Takich prób przekręcania faktów historycznych nie brak więcej. N. p. „Erml. Zig.“ wystąpiła niedawno z artykułem udowadniającym rzekomo niemieckie pochodzenie wielu rodzin polskich, czyniąc to na zasadzie ich nazwisk rodowych.

Słusznie odpowiada na to „Gazeta Toruńska“:

»Dzisiejsze Prusy Zachodnie przechodziły różne koleje. Ziemia pierwotnie polska dostała się na kilka wieków w ręce niemieckich krzyżaków, potem wróciła pod panowanie Polski a od stu z górą lat znów ma rządy niemieckie. Jak dziś Prusacy, tak dawniej krzyżacy dla własnej wygody Niemczyli nazwy osób i miejscowości. Dajmy na to za czasów pomorskich dziedzic Palubic nazywał się Bóbr, którego dla odróżnienia od jego krewniaków nazywano: Bóbr z Palubic. Krzyżacy, opanowawszy Pomorze z ziemią chełmińską i michałowską przetłumaczyli Bobra na Bieber z dodatkiem von Palubitz i tak zapisywali go w księgach urzędowych, ale p. Bieber mówił tym samym językiem, co Bóbr t. j. po polsku. Po polsku mówił lud i mieszkańiec sąsiedniego dworu, a nikt nie troszczył się o to, jak dawniejszy Bóbr zapisywany jest w księgach urzędowych, ale wiedzieli wszyscy, że mieszka w Palubicach i dla tego nazywano go dziedzicem palubickim, panem palubickim, albo krótko Palubickim. Za czasów polskich w księgach łacińskich pisano pier-

wotnie Bieber de Palubice a w polskich dokumentach, według powszechnie przyjętego zwyczaju nazywania szlachty według dziedzictwa, krótko Palubickim lub pełnym nazwiskiem, po zapomnieniu Bobra — Bieber Palubicki.«

Z przyjemnością zanotować tu możemy fakt, który komunikuje „Kuryer Warsz.“:

»Domagania się wielu pism tutejszych od producentów berlińskich prowadzenia korespondencji w języku polskim, jak widać, nie pozostały bez oddźwięku. W tych dniach za pośrednictwem jednego z kantorów ekspedycyjnych podpisali umowę na objęcie posad w firmach, mających stosunki z odbiorcami tutejszymi, trzech korespondentów fachowi zakontraktowani wyłącznie do listów polskich. Także w Hamburgu zgodziła się pewna firma już na polską korespondencyę. Trzeba tylko ażebyśmy chcieli, a możemy skłonić fabrykantów niemieckich do prowadzenia polskiej korespondencji — a mamy ztąd chociażby ten zysk, że tylu a tylu polskich korespondentów znajdzie utrzymanie.«

O ile przyjemnem jest mózdz zanotować taki dowód pomyślnych wyników naszych usiłowań, o tyle przykrym i smutnym obowiązkiem jest zaznaczyć, że nową poniesliśmy stratę w ziemi. W sprawie sprzedaży Cmachowa w ręce niemieckie piszą do „Gońca Wielkopolskiego“:

»Szanowna Redakcyo w numerze wczorajszym doniosła o sprzedaży Cmachowa, które leży przy szosie z Wroniek do Sierakowa, blisko godzinę od Wroniek, obejmuje przeszło 2000 mórg dobrej ziemi po obu stronach szosy. Wiadomość o sprzedaniu Cmachowa niemeowi p. Bake, sąsiadowi, który jest dzierzawcą dóbr Nowowiejskich, jakie przed kilkunastu laty sprzedał p. Grabowski, baronowi Kapher, a które obecnie są w posiadaniu Hanowerskiej Izby klasztornej, wiadomość tę już od dwóch miesięcy w okolicie sobie podawano. Miał zamiar kupić Cmachow pan marszałek Kurnatowski z Pożarowa. Lecz p. Bake wziął się na Cma-

Zmierzył karabinem i długo celował.

— Za daleko, ale żeby ino kula doleciała, sprzątnąłbym tego draba na przodzie, bo pewnikiem on to mnie wczoraj zdzielił batem.

Kozacy polecili dalej drogą. Maciek pomknął nieco w las szukając szerokiego pnia po ściętem drzewie. Gdy go znalazł usiadł, czapkę zdjął, przeżegnał się i naprzód zajrzał do ładownicy rachując naboje.

— Sześć po dziesięć bez jednego, bo ten jeden w karabinie. Na początek wystarczy.

Z kobiałki wydobyl faszke, chleb i kawalek słoniny.

— Maciek do ciebie, sprawiles się, nie ma co mówić, galanto.

Przechylił faszke, zabalgotala, huchnął... Cóż kiedy nie było czem chleba ukrajać, a słonina zmarzła na kość.

— Leć do Moskala po kozik! — zawołał i zaśmiał się z konceptu. — Maciek tyś jucha okropnie przyścipny!... Żebym ci nie był przyścipny, nie byłoby przy mnie karabinu.

Odgarnął nogą z ziemi śnieg, nałamał gałązek sośniny, rozpalil ogień i przy nim prażył słoninę, podstawiając chleb. Kapala obficie, chleb się rozgrzewał i pęczniał.

— I bez kozika dam se rade. Kiej ja ci golemi rękami zmógłem Moskala i na drugi dzień, jakim przysłał do powstania, zdobyłem karabin i sześć dziesiątek naboji, to muszę mieć głowę na karku.

Rozwinął kożuszek, strzepnął z niego śnieg, zdjął sukmanę, ubrał się, zapiał, baranicę przechylił na bakier, pochwycił karabin.

— A teraz chodźcie na mnie choćby dziesięciu!... Ten Bartek, starszyzna, chłopcy z Mirka! Co to będzie uciechy, rety! Byle ino ich dogonić, dowiedzieć się, któredy poszli. Nigdzie ino w las. Trzeba iść krajem, póki same ślady nie zaprowadzą.

Ładownicę przypasał, sukmanę skreślił jak płaszcz żołnierski, końce związał sznurkiem, położył przez ramię, karabin w rękę.

— Kaśka! żebyś mnie teraz ujrzała, oniemiałabyś! Oniemieje Bartek i chłopcy z Mirca.

Poszedł krajem, szukając śladów na śniegu.

— Pięć rubli w zanadrzu — marzył — za nie może być tegie ciele, a z cielecia krowa! Kaśka lamentowała i bała się. Ha! ha... A niech lamentuje, to potem więcej będzie dbać.

Co uszedł kilkadziesiąt kroków, patrzył na gościniec i oglądał się, szukając śladów na śniegu.

— Tędy — zawołał, zatrzymując się — tędy przejechały wozy, widzę ślady butów chłopów mirzeckich. Tędy, znalazłem przecie!

Poszedł prosto za śladami. Drzewa i kręta droga zakryły go, zginał w gąszczy; jedna żywa dusza w tajemniczej puszczy, jedno bijące serce w ciszy, jedna myśl w tej sennej martwocie. Maciowi mimo to było wesoło. Szedł żywo pod górę, zatrzymując się, żeby tylko zdjąć baranicę, otrzeć rękawem kożucha pot z czoła i fajczynę wypalić. Palilo go pod podszwami, niecierpliwosc gnala naprzód, nie chciał, aby bez niego poszli na Moskala i zostawili jak głupca z karabinem. Tego się bał najwięcej i coraz szybciej darł, drapiąc się w górę.

— Żeby ino co dnia przylecieć — powtarzał. — Zapadnie noc, stracę ślad i co dalej, gdzie się obróć, gdzie się podzieję, i co ze sobą zrobię!...

Zatrzymał się, oparł o drzewo, przesunął z pleców kobiałkę, wyjął faszke, pociągnął i dalej w drogę.

Z bitego gościnca wielkie ślady kół i ludzkich stóp rzucały się na prawo.

chowo, i aby je tylko dostać, byłby dał, jak się wyraził, choć po 120 talarów za morgę. Nowy właściciel jest znany jako dobry Niemiec, zwozi już cegłę i wapno, aby nową gorzelnią pobudować, choć obecnie jest jedna w sąsiednim Biezdrowie na wykończeniu.

W niedzielę zjechali pp. marszałek hr. Węsierski Kwilecki i ks. prałat Jaskulski do p. hr. B., aby go od sprzedaży odmówić, lecz co zdziałali ci panowie, wiedzieć oczywiście nie mogę. A tak Źmachowo, te śliczne dobra blisko miasta leżące, przepadły dla nas. — Serce się rozdziera, gdy się wspomni na to wszystko.

Hr. Bniński był członkiem rady nadzorczej Banku Ludowego we Wronkach, lecz na posiedzeniach nigdy nie bywał; pomimo tego był wybierany, choć nieobecny.

Jakżeż to bolesne! westchnąć sobie trzeba z głębi duszy, po przeczytaniu powyższych słów. Tem boleśniejsem to uznać trzeba, jeśli się zważy, że już nie tylko w kraju nasze towarzystwa wystawione są na szykany, ale nawet w Berlinie mieszkający Polacy mieli nieszczęście ściągnąć na siebie gromy hakatystycznej prasy. W tym razie w roli pachółka hakatystów wystąpił „Berl. Tagebl.“ z dwoma artykułami, o których tak pisze „Kurier Poznański“:

»Pseudo-liberalno-żydowski »Berl. Tagebl.« wyruszył przeciw polskiemu towarzystwom w Berlinie, widząc w ich istnieniu prowokację niemieckości. — Uznaje on, że Polacy w Berlinie są skazani na siebie i nie tylko nie dziwi się, że łączą się w towarzystwa, ale przyznaje im nawet konstytucyjne prawo do tego jako pruskim poddanym. Spostrzega jednak »zasadniczą« różnicę pomiędzy towarzystwami polskimi w Berlinie a innemi towarzystwami prowincjonalnemi. Towarzystwa te mają cele towarzyskie, literackie lub humanitarne i nie zamykają się w obec przybyszów z innych prowincyi. Inaczej rzecz ma się z polskimi towarzystwami. Zmie-

rzają one do tego, aby swych ziomeków łączyć, pod każdym względem zorganizować i ogrodzić w obec reszty żywołów ludności. Jaki sens — pyta się — mają w Berlinie narodowo-polskie towarzystwa oszczędności i towarzystwa konsumcyjne — chyba tylko uprawianie polskiej propagandy? »Sokół« w Berlinie jest zdaniem tego szanownego organu politycznym nonsensem. Przedziwna zaiste logika! Przyznaje »Berl. Tageblatt«, że Polacy »swym językiem są skazani na siebie,« ale skoro łączą się w towarzystwa w niewinnej, niepolitycznej tendencji, uprawiają politykę niebezpieczną dla niemieckości. Toć organ żydowski powinien wiedzieć, że żydzi, aczkolwiek nie różnią się językiem od reszty ludności Berlina i całych Niemiec, mają wszędzie swoje odrębne towarzystwa oszczędnościowe, konsumcyjne, szkolne itp. Czyż i oni uprawiają politykę wroga niemieckości? Antysemita oskarżają ich wprawdzie o takie tendencje, ale »Berl. Tagebl.« zawsze z oburzeniem protestuje przeciw temu, posługując się równocześnie tą samą taktyką względem nas Polaków. Zresztą Polacy w Berlinie łączą się ze sobą otwarcie w tym celu, aby pielegnować swój język, co nie jest zbrodnią i co nie wyklucza poddaństwa pruskiego.

A teraz na dodatek, dla ilustracyi hakatystów powiedzieć trzeba, dlaczego rzucano się naraz na Towarzystwa Berlińskie. Oto dlatego, że wychodzi tam teraz pismo polskie i że dzięki pismu zaczyna się przyszykować organizacja przemysłowo-rzemieślnicza. Gdy było cicho w Towarzystwach — nikt nic nie wspominał o nich. Teraz zaś biją Niemcy w wielki dzwon na twogę wobec samych projektów jakiejś zorganizowanej pracy.

O kwestyi organizacyi naszego przemysłu zamieścimy za tydzień osobny artykuł. Dziś zanotować tu wypada poniższy głos „Dziennika Kujawskiego“:

»Prawdziwie zakłębem kołem nazwaćby można kwestyą organizacyi naszego prze-

mysłu, a właściwie rzecz biorąc, naszego handlu i przemysłu, boć handel nasz sam okazał się jeszcze za słabym do wytworzenia własnej organizacyi i zwłaszcza po mniejszych miastach bierze udział w organizacyi przemysłu. Już od całego szeregu lat słychać skargi, że nasze towarzystwa przemysłowe, jakkolwiek tu i owdzie niemało zdziałały dobrego, — nie odpowiadają należycie potrzebie i nie zdolne są przy dzisiejszym swym ustroju i sposobie działalności spełnić trudnego zadania swego, którem jest energiczne popieranie i ułatwianie rozwoju handlu i przemysłu. Już też od całego szeregu lat toczą się obrady nad tem, w jaki sposób je zreorganizować, połączyć, polepszyć, podnieść do takiego poziomu, z którego by więcej korzyści społeczeństwu naszemu przynieść mogły. Były zjazdy, były narady, a ileż to napisano o tem po gazetach — a wszystko napróżno, daremnie. Zysk z tych narad, zjazdów i głosów po gazetach chyba w tem się mieści, że coraz lepiej poznajemy wady i niedostatki obecnej organizacyi. Natomiast lekarstwa na te wady i niedostatki, to jest lekarstwa takiego, któreby zyskało było ogólniejsze uznanie, dotychczas jeszcze nie wymyślono. Każdy projekt napotyka jeźli już nie na opór, to na tak surową krytykę, że gdy z pod niej szczęśliwie się wydobędzie, nic z niego prawie nie pozostaje.

* * * * *

KORESPONDENCYE.

* * * * *

Bydgoszcz, 23 sierpnia.

(Srebrny jubileusz Towarzystwa przemysłowego.)

Tutejsze Towarzystwo przemysłowe obchodziło w dniach 21 i 22 bm. 25-letni jubileusz swego istnienia.

Akt inauguracyjny odbył się w sobotę wieczorem na sali pani Musielewicz, na którym Polki bydgoskie wręczyły To-

— Skręcili — zawołał. — Teraz to już nie zgine.

Zwrócił się i u podnóża łańcucha gór lekką spadzistością biegł żywo. Buty moskiewskie dzwoniły mu, uderzając podkówkami.

Niezadługo poczuł dym i na załamie wzgórza w wielkiej kotlinie zobaczył obozowisko. Zaśmiał się i huknął z całych sił.

Stanął, wyciągnął szyję i usłyszał rżenie koni.

— Jedne koniska mnie poznały.

Leciał dalej.

— Stój! kto idzie?...

Maciek się wyprostował.

— Do dziś rana kosyner z pierwszego batalionu, gdzie Bartek podoficer, a teraz taki, jak i wy strzelec, Maciek z Mirka.

— Chodź do mnie.

Maciek przyszedł i sprezentował broni.

— Obdarłeś łajdaku Moskala — uderzył go lekko pięścią w kark i popchnął na dół.

Chłop leciał jak opętany, trzymając w jednej ręce buty, w drugiej karabin.

Wielka kotlina wrzała, kosynerzy z jedliny robili szałasie i stajnie, na ogniskach kotły kipiały, konie tymczasowo uwiązane u wozów mrózczały wesoło, rozkazy krzyżowały się, a cały obóz jeszcze

niesformowany przedstawiał dziwne mrowisko.

Maciek wpadł w sam środek.

— Jestem! — zawołał — a to karabin odebrany Moskalowi pod Szydłowcem, a to jego buty, ładownica i w niej sześć dziesiątek naboii... kozuszek!...

Kosynerzy, strzelcy, starszyzna obścąpili chłopca. Robiło się koło niego coraz tłumniej. Maciek radby wszystkie swe przejścia wypowiedzieć jednym tchem, odrazu, lecz radość rozrywała mu płuca, tamowała oddech...

Jeden z oficerów podał mu manierkę z winem. Przechylił ją, wypił, odetchnął głęboko i zaczął. Opowiadając, gestykulował, zatrzymał się, czaił, kładł się na ziemię, klękał i śmiał się do łez, gdy za karabin darował Moskalowi kozik i z liłości rzucił mu dwa ruble.

— Rozzulem go, żeby jucha odrazu nie mógł polecieć do swoich. Buty są galante i biore dla siebie, a te co mam na nogach, oddaję napowrót rządowi narodowemu i proszę starszyzny, aby mnie przeznaczyła do strzelców.

— Niech żyje Maciek! — zawołał dowódzca.

— Niech żyje! — powtórzył obóz. Echa wtórowały, a Maćkowi się zdało, że dobiegną do samego Mirka i Kaśka je usłyszą.

Zdjął czapkę i kłaniał się na podziękowanie.

— Pierwszej kompanii strzelców, w pierwszym szeregu, pierwszy z prawej strony i pierwszy do awansu na podoficera! — ogłosił stary wódz.

Maciek stał wyprostowany, coś go okrutnie lechtało pod zebra, ryknąłby z ochotą, ale się wstydził.

— A baranicę utnij do połowy, żeby ci nie zawadzała wśród krzaków — dodał kapitan, klepiąc go po ramieniu.

— Już ja jej dam radę — odpowiedział, a podchodząc bliżej, dodał ciszej:

— Nasi z Bodzentyna jeszcze nie przyszli, za godzinę zrobi się noc, ślady znikną. Na rozstajnych drogach trzeba ogień rozpalic i czekać na nich.

— Zapomniałem o tem, Maciek, tyś się urodził na żońnierza!

— Bo gdyby nie ślady, co mnie prowadziły za dnia, błąkałbym się i cały tydzień.

Wydano rozkazy zapalenia wielkiego ogniska na skrajcu z głównej drogi. Maciek zabrał kapitan do strzelców. Chłop szczęśliwy, lecz wyczerpany i zmęczony, rzucił się w szalasię na suche liście i zasnął, tuląc karabin do siebie. Nie chciał go wypuścić z rąk.



warzystwu sztandar. Przemówienie pana posła Czarlińskiego, skierowane głównie do Polek, wywołało burzę oklasków.

Nazajutrz rano udano się do kościoła farnego na nabożeństwo, a następnie podążyli licznie przybili delegaci z blizka i z daleka i członkowie miejscowi na salę obrad, gdzie liczne grono uczestników zasiadło do śniadania. Przemawiali: p. Sosnowski z Bydgoszczy na cześć delegatów i p. Józef Kużaj z Poznania, dziękując w imieniu delegatów za słowa powitalne i składając życzenie od Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu.

Na następnym nadzwyczajnym zebraniu pod przewodnictwem prezesa naszego Towarzystwa p. Dzielińskiego, powitał delegatów tytułarny prezes, p. mecenas Moczyński. Honorowym prezesem wybrano jednomyślnie p. posła Czarlińskiego, a czynnym prezesem p. Józefa Kużaję z Poznania.

Zamiast zdania referatu o 25-letniej działalności Towarzystwa rozdano między uczestników drukowane jubileuszowe sprawozdanie, które napisał p. J. Suligowski.

Pan Stefan Chociszewski z Poznania wygłosił odczyt z historii stanu miejskiego p. t. „Z przeszłości naszego mieszczaństwa“, za który zebrani podziękowali prelegentowi hucznymi oklaskami.

Pan poseł Czarliński wręczył z polecenia Towarzystwa zasłużonym członkom Towarzystwa bydgoskiego srebrne medale i dyplony na członków honorowych.

Różni delegaci składali życzenia Towarzystwu, odczytano też liczne listy i telegramy z życzeniami, a zebranie, które miało bardzo harmonijny przebieg, zakończono wiatami na cześć posła p. Czarlińskiego, przewodniczącego p. Kużaję i na cześć prezydium i Zarządu Towarzystwa bydgoskiego.

Policja miejscowa robiła nam wiele trudności, mianowicie zakazano w osta-

tniej chwili nie tylko pochodów, ale nawet koncertu i zabawy, wreszcie na usilne starania członków Zarządu pozwolono na koncert i zabawę, ale pod warunkiem, że nie wolno brać wstępnego.

Na koncert i zabawę, odbyte w ogrodzie i na sali strzeleckiej, przybyła bardzo liczna publiczność. Podczas koncertu nastąpiło wbijanie gwoździ do nowego sztandaru.

Cały przebieg obchodu był świetny, a myśmy w myśl słów „Czem chata bogata — tem rada“ starali się przyjąć serdecznie delegatów i gości.

Polonus.

Chicago, 20 lipca.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Dowiadujemy się z Europy, że po trzech tygodniach bolesnych cierpień zakończył życie dnia 16 czerwca bm. w wieku lat 46 śp. Maksymilian Gozimirski, dziedziec dóbr Marcinkowa górnego pod Gąsawą w W. Ks. Poznańskiem. Śp. Maksymilian Gozimirski mieszkał, żył i dzielił tutaj z nami przynajmniej w r. 1884 i 85. W tym krótkim czasie swoją szczerością, uprzejmością i szlachetnością zjednał sobie szerokie grono wiernych przyjaciół. To też z trudnością pogodziliśmy się z losem, gdy przyszła dla niego pomyslniejsza chwila, pozwalająca mu wrócić do kraju, by tam za siebie i za nas wiernie pracować na niwie ojczyźnej.

Po powrocie do Polski odziedziczył majątek ziemski Marcinkowo górne, jako spadek po dziadku swoim. Tam w krótkim czasie zapoznał, pokochał i poślubił pannę Helenę Dziembowską z Roszkowa pod Skokami, córkę dziedzica rozległych włości, dzielnego szermierza za sprawę polską, wzorowego gospodarza, powszechnie szanowanego i wysoko cenionego obywatela, nietylko przez swych rodaków, ale i Niemców, którzy nie mieli powodu go miłować,

z powodu powstania w r. 1863, w którym brał żywy i czynny udział jako członek rządu narodowego, za co po upadku powstania musiał długo pokutować w więzieniu.

Śp. Maksymilian osiadłszy raz na ojcowiznie pokochał ją duszą i ciałem, pilnował gospodarstwa, żył w zaciszu domowym zawsze mając na pamięci, by nie uszczuplać, ale o ile możebnem i podobnem, pomnażać i rozszerzać swoje lany. —

Przed 10—12 laty, kiedy Niemcy zabrali się tak gorliwie i chciwie do wykupywania ziemi polskiej, a szczególnie większych majątków ziemskich, — po kilkakroć kuszono go wysoką ceną za jego ojcowiznę na rzecz komisji kolonizacyjnej, lecz daremne były ich zabiegi. Śp. Maksymilian tak głęboko zakopał się w miłości i przywiązaniu do swej gleby, że pieniądze jako grosz judaszowy z pogardą odrzucił, i tutaj dał nowy dowód swego hartu ducha polskiego i jak wysoko cenił i mocno przyłgnął do ziemi Lechów. Żadna siła nie zdołała go oderwać od pługa. Pomimo, że sąsiedzi, a nawet starsi, których sam wiek powinien był silnie spoić z tą ziemią, długie lata uprawiali, — ulegali tej złotej pokusie, on chociaż świeży i nowy gospodarz i nowożeniec, któryby powinien lecieć na złoto jako przypuszczali Niemcy, i puścić się z młodą żoną w wir świata, by zwiedzać Paryże i płaszać w krajach obcych, dobry daje przykład, zostaje na ziemi ojców, bo ta ziemia jest świętą dla niego relikwią. Na niej więc siedział i pracował pilnie dla Ojczyzny. Bujanie po pięknym kraju włoskim i górach uroczych pozostawił dla innych, co jeszcze byli chciwi takich wrażeń a niemieli szkoły życia za sobą, nie wiedzieli, jak łatwo talara stracić a jak trudno i gorzko grosz jeden uczeźwie zapracować. Śp. Maksymilian nauczył się w Ameryce grosz szanować. W mał-

WSPOMNIENIE MAZURA.

Słyszysz brzmieć mazur, pójdz w tany... proszę.
Ach mazur, aż serce rośnie,
Lecz tyś mi smutna, oczy podnoszę
Na cię — ty patrzysz żałośnie.

Gdy się tak bliską zdała godzina
Szczęścia, ach szczęścia mojego....
Dla czego wtedy droga jedyna
Miałaś łzę w oczkach — dla czego?

Oj szkoda oczek, oj, szkoda liczka,
Gdy żal w nich ślady wyrzeje,
Rumieniec zgaśnie, zblednie twarzyczka,
Gdy lezka — oczki wymyje.

Precz smutek z czoła — spojrzij wesoło
W świat czarów i marzeń przyszłości,
Bo on cię kocha, bo twe jasne czoło
Chce przybrać tęczą miłości!

Bo w oczach twoich, pragnie znaleźć tyle
Serdecznej dlań wzajemności,
I gdy ci liczko błysnie choć przez chwilę
Szczęściem — on w morzu radości!

Hej dziewczę lube, podaj białą rękę
Pójdziemy w tanecznych koło,
W takt do mazura — miłości piosenkę
On ci zaśpiewa wesoło.

Będzie ci śpiewał, żeś jak trzcina wiotką,
Piękną — jak poranek wiosny...
Ześ jego skarbem, szczęściem i pieszczotką,
Twój uśmiech — błysk słońca radosny!

On ci zaśpiewa, że te twoje lezki
Jak krople porannej rosy,
Które z obłoków — Stwórca — Pan Niebieski
Rozsiewa na kwiaty — wrzosi.

On — gdy na twarzy twej smutek zobaczy
I białe czoło zmroczone,
Wtedy się cały oddaje rozpaczy,
I przez łzy — patrzy w twą stronę.

Patrz więc wesoło, niech tve czarne oczy,
Twarzyczka — szczęściem jaśnieją,
A słuchaj serca — wtedy cię otoczy
Spokój z jutrzeńki nadzieją.

Po ciemnej nocy, jasne słońko wschodzi,
Napelnia uczucia — radością.
Nam także szczęście zaświta, my młodzi
Cieszymy się nadzieją, miłością,

I wiarą w szczęście! Kiedyż te wyczytam
W twych oczkach? zapytaj serduszką
Co ci odpowie, gdy serca się spytam,
O szepnij, choć cicho — do uszka.

Powiedz, czy miłość szczerą i niezmienną
W twej duszy oddźwięk znajduje,
Czy twoja dusza — szlachetna płomienna
Dla „niego“ sympatyą czuje.

O to cię spytam, gdy będziesz wesoła
Me życie, mój skarbie złoty;
A teraz tańczmy, zakręcając koła
W dziarskiego mazura sploty!

Zakopane, 29. 7. 97.

Napisał dla „Pracy“ A. Kasinowski.

żeństwie Bóg udzielił mu dwóch synów i jedną córkę, dla których był zawsze kochającym, czułym, wzorowym ojcem. Często im opowiadał za życia o stosunkach amerykańskich, o ziemi wolnych obywateli, na której to poległ Kazimierz Pułaski, a Tadeusz Kościuszko walczył dzielnie o prawa ludu, jemu zupełnie obcego, aczkolwiek walczącego dla wielkiej idei, za wolność, równość i niepodległość.

Pomimo że nie krepowały go żadne obowiązki z pozostałymi znajomymi w Ameryce do końca życia podtrzymywał żywą wymianę korespondencji i z przyjemnością odświeżał wspomnienia z nad jeziora michigańskiego. Zawsze dopytywał o zdrowie i powodzenie swoich przyjaciół i to jak najszczegółowiej, bo tak gorąco był powodzeniem swych amerykańskich znajomych zainteresowany.

Ziemie Waszyngtona, na której choć tak krótko mógł całą pierśią i duszą swobodnie oddychać i zarzywać równości i wolności, i zabrać miłe wspomnienia, pokochał całym sercem, a tem mocniej, kiedy widział i co dzień co raz wyraźniej odczuwał, jak w Księstwie nasi na własnej zagrodzie, we własnej Ojczyźnie cierpieć muszą przesładowanie.

Tak gorąco pragnął raz jeszcze odwiedzić Amerykę razem z żoną i dziećmi, by zapewnić ich, że jest zakątek tam daleko za wodami i lasami, gdzie naród polski ma prawo używać wszelkich przywilejów i równości i niepodległości i swobodnie oddychać, myśleć i pracować nietylko na swe utrzymanie, ale i dla sprawy ojczystej. Zamiaru tygo już nie zdołał wykonać, bo Wszechmocny nić życia przeciął, powołując go do lepszej krainy.

Matce, żonie, dzieciom i bratu s. p. M. G. zasylają na tej półkuli zamieszkali jego przyjaciele wyrazy serdecznego współczucia.

W imieniu pozostałych przyjaciół.
Teofil Stan.

W górę czoła!

Hejże w górę wzniesmy czoło
Zmudną pracą uznożone!
Śmiało toczmy okiem w koło,
Dość już było zalazawione.

Gnie nas, miły chłopie,
Ręka wrogów sprosna,
Ale ciesz się chłopie,
Przyjdzie wreszcie wiosna!

Dalej chłopcy pług do pługa
A gromadnie, a gromadnie!
Coś niewola już zadługa,
Więc zabrzmy ją — a składnie!

Gnie nas, miły chłopie,
Ręka wrogów sprosna,
Ale ciesz się chłopie,
Przyjdzie wreszcie wiosna!

Nieraz w pracy pług nam pęknie;
Cóż to ręce łamać mamy?
Nowy uknąć żwawo, pięknie,
A przemocy się nie damy!

Gnie nas, miły chłopie,
Ręka wrogów sprosna,
Ale ciesz się chłopie,
Przyjdzie wreszcie wiosna!

Ciesz się, chłopie miły,
Boś jest milionem,
A gdy skupisz siły,
Strwożysz wrogów plonem!

Tadeusz K.

Przedruk wzbroniony.

ESTERA.

Komedya romantyczna w 3 aktach ze śpiewami,
napisana dla „PRACY“
przez
Feliksa Bobowskiego.

Osoby:

- 1) POMORSKI, szlachcic mazowiecki,
- 2) ALFRED, syn jego,
- 3) ESTERA, cyganka,
- 4) TURBANI, herszt cyganów,
- 5) KASZUBA, rządcza Pomorskiego,
- 6) WOSIŃSKI, szlachcic mazowiecki,
- 7) JADWIGA, jego córka,
- 8) WOJTEK, parobek,
- 9) JAN, służący Wosińskiego,
- 10) JAN, służący Pomorskiego.

Rzecz dzieje się na Mazowszu w czasach przedrozbiorowych.

Pierwszy akt dzieje się w dobrach Pomorskiego, drugi w dobrach Wosińskiego, trzeci w mieszkaniu Alfreda.

Pomiędzy I a II. aktem upływa rok, pomiędzy II. a III. pół roku.

Akt I.

Scena przedstawia drogę polną, wysadzoną drzewami; z jednej i drugiej strony leżą wielkie kamienie, służące za ławki do odpoczynku.

Scena I.

Estera i Alfred.

(Za podniesieniem kurtyny slychać oddalony krzyk mężki i przerywany śpiew kobiecy w towarzystwie gitary. Głosy te zbliżają się, aż po chwili wpada na scenę Estera, przedstawiająca cygankę z gitarą w ręku. Za nią Alfred, ubrany elegancko z batem używanym do jazdy konnej.)

ALFRED

(biegnie za Estera, chcąc ją zatrzymać)

Stój Estero, ja cię kocham, kocham cię namiętnie!.. Ty będziesz moja!..

ESTERA

(stawa w lewym rogu, a robiąc ręką znak odpowiedni, wstrzymuje Alfreda, mówiąc:)

Nie waż się dotknąć mnie, hrabio! Żegnaj cię! (śmieje się w głos) Kochasz mnie naprawdę? Ale jak może jasny pan hrabia kochać się w cygance! Zapomnisz o mnie!

ALFRED

(stoi wzruszony, jak skamieniały, oczami tylko pożerając Estera.)

ESTERA (śmieje się szyderczo).

Wszechwładny panie całej okolicy, dla czego stoisz nieruchomy? Żegnaj cię hrabio, ot zanucę ci na pożegnanie.

(śpiewa w towarzystwie gitary)

Żegnaj cię, żegnaj, mój wielki panie,
Bo ze mną czas wielki w drogę,
Może, że kochać cię jestem w stanie,
Ale żyć z tobą nie mogę.

Patrz ot tam w lesie me pomieszkanie,
Wszędzie otwartą mam drogę,
Może, że kochać etc.

W twej pięknej ciasnej żyć nie chcę ścianie
I mierzyć złotą podłogę.

O tak, ja kochać cię jestem etc.

Chcesz życia mego dzielić stapanie,
Chwilę i przykrą i błogą,

Jam twą ofiarę przyjąć jest w stanie,
Pójdź więc, pójdziem jedną drogą.

(po przegrywce ucieka.)

ALFRED

(który podczas śpiewu stał nieruchomy, biegnie za nią) Stój Estero!.. Więc ty mnie kochasz,

ja pójdę z tobą, pójdę choć na krańce światła (wybiega).

ESTERA

(wchodzi po dość długiej pauzie, siada na kamieniu i oddycha ciężko)

Ja go jednak kocham. O! jak trudno się ztąd oddalić... Kocham.. kocham? co to jest kochać? (chee odchodząc.)

ALFRED (wpada nagle).

Nie odchódź, nie odchódź Estero! (klęka) ulituj się, zostań, zostań ze mną, ja wszystko poświęcę dla ciebie! (wstaje).

ESTERA (patrzy długo na niego).

To niemożliwym! Ty, pan wielki, dziecko włości obszernych, a ja uboga cyganka! O! co za przepaść między nami. Cóżby powiedzieli twoi dumni ojcowie, czyż możesz herb twój nieskalany dotychczas obryzgać taką plamą?! Nie, to niemożliwe!.. (po chwili) A jednak, a jednak.. Alfredzie..

ALFRED.

A jednak.. a jednak.. Estero! ty mnie kochasz! (chwytając ją za rękę) Estero! coż nas obchodzi różnica stanu? My się kochamy, czy to nie wystarczy? Cóż mnie po bogactwie, jeśli mam stracić ciebie... co mam najdroższego? Nikt nie śmie zakazać mi kochać istotę ubogą. Estero, powiedz mi jedno słowo, że mnie kochasz, a poświęcę wszystko dla ciebie.

ESTERA

(wydziera mu rękę i nagle zmienia ton).

Nie uczynisz tego hrabio! To cześć słowa używane w celu, aby zwieść dziewczynę, która, jak nowe cacko, podoba ci się dziś, a jutro ci zbrzydnie.

ALFRED.

Estero! kochasz mnie?

ESTERA.

Ty nie wiesz hrabio, jak cyganki pojmują miłość. Choćbym cię kochała, to czy sądzisz, że tą miłością ciebie zadowolnie? A gdybym cię kochała, ach, czy sądzisz, że dla tego błahego uczucia poświęcę swą wolność, aby zamknąć się z tobą jak pustelnica? Czy sądzisz, że dla ciebie jednego poświęcę wszystko, ja, którym przywykła bujać jak ptak w powietrzu?! Ja, na której skinienie drzy cały obóz cygański, czczący mnie, jak królową?!

ALFRED.

Bez serca jesteś.

ESTERA.

Być może.

ALFRED.

Zimna, jak głaz.

ESTERA.

Nie czuła.

ALFRED.

Niegodna jesteś być kobietą!

(ESTERA (szyderczo).

Ani cyganką?

ALFRED.

Estero! Czyż naprawdę żyjesz tylko dlatego, aby dogodzić twym cygańskim pragnieniom? Czyż rzeczywiście w duszy twej pokrytej tak pięknym ciałem nie ma ani iskielki uczucia godnego człowieka, kobiety?

ESTERA.

Duszy? I ty wierzysz, że człowiek ma duszę?

ALFRED.

O tak, wierzę, bo gdybyśmy nie mieli duszy, czyżbyśmy mogli pojąć to, że dwie istoty, obce sobie dotąd, pokochają się, łącząc swe myśli, zdolne są do największego, wzajemnego poświęcenia? Czyż mogliby-

śmy pojąc, że dwie nieznane sobie dotąd istoty tęsknią ku sobie, żyją myślą o tym ukochanym przedmiocie, gdyby istota nasza składała się z niczego więcej jak z tego martwego ciała, które po śmierci człowieka staje się prochem? Jeżeli zaprzeczasz istnieniu duszy, jak tedy chcesz z myślą tą pogodzić fakt, że człowiek, zdolny do największych poświęceń, zdolny do najpiękniejszych czynów, silny, zdrowy, w jednej chwili staje się prochem? O! Estero, gdyby dusza nie istniała, czyż mogłoby w człowieku istnieć to potężne uczucie, jakim jest miłość?

ESTERA.

Miłość? — e, to kaprys!

ALFRED.

Kaprys? — Czyż nazwiesz to kaprysem, że ja, pan wszechwładny, jak sama powiedziałaś — całej okolicy zebrze u ciebie jednego spojrzenia, jednego słówka pociechy. O gdybyś poznała prawdziwy cel życia naszego! Chódź ze mną Estero, ja cię nauczę o Bogu wszechwładnym, o duszy, o tym wzniosłym celu życia ludzkiego, o przyszłości! to wszystko znikome. Nie dziwię się, że się wahasz, bo szłaś dotychczas li tylko za popędem swych pragnień, nie wiedząc, że ludzie do innych są stworzeni rzeczy.

ESTERA.

Zbyt surowo może mnie sądzisz.

ALFRED (z radością).

Więc miałabyś uwierzyć mym słowom?

ESTERA.

O, nie, nie tak to łatwo, a jednak... słowa twe hrabio...

ALFRED (przerywa).

Nie mów mi „hrabio“.

ESTERA.

Słowa twe wywierają na mnie wpływ niepojęty. O Alfredzie, ja źle uczyniłam wdając się z tobą w rozmowę. Ja igrać chciałam z tobą, jak dotychczas igrałam z wielu mężczyznami, lecz teraz poznaję, że powinnam była uciekać od ciebie, bo... bo... cię...

ALFRED.

Boś mnie pokochała!

ESTERA.

Tak, bom cię pokochała i... nie pojmuję, ale zdaje mi się, że kocham cię uczuciem, jakiego nie doznawałam dotąd nigdy, miłością twego pojęcia!

ALFRED.

Co za szczęście (chwytając ją za ręce) Estero, chodź więc ze mną! Na rękach nosić cię będę, zrobię cię królową w moim domu i wkrótce zapomnisz o złotej twej wolności.

ESTERA.

Nie, nie, to jest niemożliwym, pomyśl tylko, co za niezmierną przepaść jest pomiędzy nami.

ALFRED.

Estero! ja nic więcej nie żądam, prócz twej miłości.

ESTERA

(nagle jakoby inną myślą natchniona).

Nie, nie hrabio, nie Alfredzie, to jest niemożliwym, ani ty, ani ja, nie możemy nawet myśleć o tem, dla tego żegnam cię, Alfredzie! Dziękuję ci za wszystko, co usłyszałam od ciebie, wierz mi, że słowa twe wywarły niesłychany wpływ na mnie, może, może teraz inaczej pojmować będę życie, bo zaczynam ucuwać duszę i serce w sobie. Ja żyć będę inaczej, a żyć będę dla ciebie. O ja nieszczęśliwa, zem cię

pokochała. Żyć dla ciebie, ale bez ciebie! (po chwili) Lecz, czy nie musisz mi przyznać, że miłość ta musi pozostać w tajemnicy! Pójdę, pójdę więc do mego obozu, a jutro Estera będzie już w innej okolicy — hen daleko! — ale myśleć o tobie i kochać cię będzie zawsze. Poświęcę dla ciebie wszystko, bo czyż cierpienie to nie będzie rozkoszą dla mnie? Słuchaj: jeżeli mam duszę, to w oddaleniu będzie tylko ciało, a dusza i serce zawsze i wszędzie przy tobie. Ciebie jednak, drogi Alfredzie, nie chcę krępować. O nie! nie zniosłabym, abyś ty cierpieć miał z mej przyczyny! Nie krępuj się... tyś dla innej stworzony. Zapomnij o mnie! Tobie zawdzięczam, że w jednej chwili z istoty żyjącej tylko dla tego, aby żyć, stałam się istotą wyższą nad zwierzęta, istotą pojmującą właściwy cel swego istnienia. A czy sądzisz, że byłabym tak łatwo zwyciężyła popęd do wybryków poziomych, gdybym cię nie była kochała?! Czy słowa twe wywarłyby taki wpływ na mnie, gdyby nie były wypowiedziane w uniesieniu miłości i gdyby nie były się odbijały o serce przejęte miłością? Ale miłość twa, to szła tylko, to chwila przemijająca. Gdy sobie rozważysz, sam przyznasz, że był to sen tylko. Żyj więc szczęśliwie... kochaj... bom ja... nie godna ciebie (chce odchodzić).

ALFRED.

Tyś nie godna mnie! (wstrzymuje ją) ty, która na tyle poświęceń jesteś gotowa? O, nie Estero, ty nie odejdziesz. Jeżeli mnie kochasz, zostań, będziemy szczęśliwi! Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, kocham cię miłością, na jaką tylko zdobyć się mogę. To nie szła chwilowy. O nie, wierzaj mi.

ESTERA.

Pozwól mi odejść Alfredzie. Jeżeli to nie był szła, to staraj się wmówić w siebie, że to szła, a czas zatrze powoli doznane wrażenia, zapomnij o mnie, a ja szczęśliwą będę, pieczętując się myślą o tobie.

ALFRED (smutnie).

Za wiele żądasz odemnie. — Czy nie masz litości nademną? Oszczędź mi tej przykrości, sądząc, że jestem w stanie zapomnieć o tobie.

ESTERA (z płaczem).

O ja nieszczęśliwa, powinnam była uciekać z tego miejsca... a teraz... ach jak trudno je opuścić. Alfredzie! uściskaj mnie po raz pierwszy i ostatni (wpada w jego objęcia). (Alfred obejmuje ją swemi ramionami i łączą się w przeciągłym pocałunku. Potem Estera wyrwa się z jego objęć i ucieka.)

ALFRED (wola za nią).

Estero, jam z tym pocałunkiem oddał ci życie moje.

ESTERA (za sceną).

I ja tak samo, a jednak rozstać się musimy... na zawsze!..

ALFRED.

Nie, nie możemy się rozstać... Stój Estero... (wybiega za nią).

Scena II.

Wojtek sam.

WOJTEK

(wchodzi upadając na jedną nogę, ogląda się z głupkowatą miną).

O! hoho! jak się to ten nasz jasny panicz-zakochoł! A jobjymmoją żonę tak kochol! (podnosi kawał sztywnego papieru z ziemi, patrzy zdziwiony) Estero! Estero! (patrzy) Tak to ona, to Estera, to ta cyganica,

ach! teraz ja ją będę tak sciskoł. (przyciska do serca) Ach! jakie to poczucie, jak mówił jasny pan. Trzeba schować — musi ona być czarownicą, kiedy nawet jasne pany się w niej kochają. (Postawia obrazek na kamieniu i odchodzi kilka kroków) Czy ty masz duszę. O! gdybyś ty wiedziała Estero, jak ja cię kocham, jak ja cię lubię, ja cię nigdy nie poczubie! (obrazek spada, Wojtek leci, podnosząc) Zostań, zostań Estero, nie uciekaj! (postawia obrazek jak poprzednio) Estero tyś moja, ty musisz być moja! (bierze i przyciska ją do serca, potem zaczyna się dziko śmiać) To tak samo, jak jasny panicz, tylko, że ona mi nic nie odpowiada. (po chwili) Ha widocznie jej się podobam. Estero, tyś moja, już ja się z tobą nie rozstanę. (Chowa za bluzę).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

gazetach.

Rzecz

wyłoszona na wiecu w Bruch w Westfalii przez Witolda Leitgebra.

(Ciąg dalszy.)

Gazety nasze czuwają nad tem, żebyśmy nie zeszedli z prawnopolitycznego stanowiska, które zajmujemy, one strzegą naszych praw narodowych i domagają się ich dla nas. One nas nauczyły, że dziś wiemy co się nam należy, one udowodniły, że nie prosić się nam, ale upominać o prawo. Im rząd zawdzięcza, że mimo powszechnego rozgoryczenia, spełniamy sumiennie obowiązki względem państwa, że nie daliśmy się uwieść furii rozpacz, że oddając Bogu, co boskie, oddajemy królowi, co królewskie.

Gazety polskie są nietylko nam, ale i rządowi potrzebne za pośrednika pomiędzy władzą państwową, a ludnością, która tę władzę, jak ciężką na sobie rękę odczuwa. Rząd wdzięczny powinien być społeczeństwu polskiemu, że bez żadnej subwencji państwowej, z własnej kieszeni, za ciężko zapracowany grosz, który mu hakatyzm podbiera, utrzymuje pisma polskie, bo gazety polskie właśnie — gdy naród nasz traktowany po macoszemu mimowoli oburza się i dłoń zaciska, — na bolesne, a niezasłużone rany leje słowa pociechy, koi je, ucisza słusznie rozgoryczone umysły i na uspokojenie wzburzonego umysłu wywiesza sztandar ze znakiem: wiary i nadziei.

Wiemy, że rząd przeciwny jest ruchowi narodowemu polskiemu, ale dużo miał także czasu przekonać się, że ruchu tego nie stłumi, że przeciwnie każda próba przytłumienia go, jak wiatr rozszerza płomień i podsycza ognisko. Rząd powinien był dojść do przekonania, że zawsze i wszędzie nielegalnemu systemowi rządzenia odpowiada nielegalny opór ze strony społeczeństwa i że naród nasz „poczuciu niemieckiemu“ przeciwstawiać zawsze będzie „poczucie polskie“. Ogół nasz zbyt wysoko już stoi w rozwoju społecznym i politycznym, ażeby za pomocą laski kaprałskiej można go było zmienić w bezwzględnie posłuszne i bezmyślne stado. Dość miał i ma jeszcze przykładów rząd, że ludność polska oświecona, uświadomiona przez gazety, mimo że praw swoich nie zrzecze się, jest dobrym materiałem na trzeźwych, pracowitych spokojnych obywateli, którzy dla państwa, z którym je

losy złączyły, żyje i pracuje z pożytkiem. Jeżeli więc rząd nie chce popierać dobrowolnie gazet polskich, niech przynajmniej nie wbija gwoździ na i tak dość ciernistą ich drogę.

Niech się także pozbędzie fałszywego apetytu na szerzenie pruskich uczuć za pomocą drukowania gazet polskich wydawanych w duchu niemieckim. Stara to już taktyka i rzecz dziwna, że jej nie zanęchano, bo okazywała się dotychczas i z pewnością jeszcze wyraźniej okaże się w przyszłości — bezskuteczna. Założony dla przeciwdziałania *Gazecie Olsztyńskiej* — „Warmiak“ nie wyrządził jej żadnej szkody. „Kuryer górnośląski“ nietylko, że nie zgubił nienawistnych Niemcom *Nowin raciborskich*, ale sam zbankrutował i wydawany będzie już tylko w ciągu kilku miesięcy, t. j. do chwili wyjścia pierwszego numeru wspomnianej *Gazety Katolickiej*. Zasługuje na uwagę szczególnie charakterystyczny, że cała prawie prasa niemiecka na Śląsku, nawet część jej wrogo względem katolików usposobiona, nową *Gazetę Katolicką* popiera gorąco.

Próby wydawania w języku polskim pism katolickich, wrogich ruchowi narodowemu kończyły się zawsze niepowodzeniem, a i w przeszłości — jak to już powiedziałem — każde takie przedsiębiorstwo rządowe będzie — straconym nabojem. Uciesznem zadaniem byłoby, gdyby społeczeństwo niemieckie lepiej informowało się w swoich gazetach o nadużyciach urzędników niemieckich wyrządzanych Polakom, o których wiedzieć nie chce, bo mu z tem wygodnie, gdyby więcej patrzyło na palce dziennikarzom swoim, którzy potępiając naszą politykę, fałszują wypadki na naszą niekorzyść, przedstawiają nas w jak najgorszym świetle i czarniej niż czarno nas malują. Zwłaszcza panowie stojący blisko wpływu na bieg spraw bieżących i na politykę rządu, niechby zechcieli gorliwiej badać stan rzeczy, niechby mu się z większym zamilowaniem poczucia sprawiedliwości przyjrżeli, albo przystąpili do tego bez uprzedzeń, bez poduszczeń szowinistów gazetarskich, a wtenczas szorstki ton, w jakim do nas przemawiać przywykli, zmieniliby może o jaki ton niżej, przez co wykonanie koncertu zyskałoby na harmonijnej i stosowniejszej jednolitości, bo wiadomo, że hałaśliwe instrumenta, zwłaszcza niewczas użyte, źle działają na nerwy, a niepotrzebne trzaskanie z bicza sprawiło nieraz, że nawet spokojny koń się rozbiegał i wóz, do którego go zaprzęgnięto potrząsał, przyczem woźnica jeżeli karku nie złamał, to guza się nabawił i sińca odniósł.

(Dokończenie nastąpi).

Wyprawa belgijska do bieguna południowego.

Dzień 16-ty sierpnia 1897 go r. będzie pamiętnym w dziejach belgijskich i w dziejach wiedzy. W dniu tym wyruszył z Antwerpii statek „La Belgica“, udający się do bieguna południowego, aby wyrwać globowi ziemskiemu jedną ze swych tajemnic. Dzienniki już od dwóch lat zapoznaly świat naukowy z historią i z celem tej szlachetnej i odważnej ekspedycji, na której czele stoi komendant belgijski, Adryan de Gerlache.

Od XIV-go wieku podróżnicy starają

się dosięgnąć bieguna północnego; ale obszary ościenne bieguna południowego pozostały prawie zupełnie nieznanne, bo nikt dotąd nie przedsięwziął naukowej eksploracji onegoż (nie mówimy o handlowych wyprawach rybaków na wieloryby) od czasu ekspedycji angielskiej sir James Clarke Ross (1839—43), która była dopełnieniem pamiętnych podróży sławnego kapitana Cook (1772—1775) i Wedella (1823—30) i od czasu ekspedycji francuskiej i amerykańskiej Dumont d'Urville i Wilkes (1838—40), a które osiągnęły 78° 10' szerokości, przekroczywszy lodozwały australne.

Uczeni sądzą jednogłośnie, że nieznanne ziemie tworzą około bieguna australnego bezmierny kontynent, którego wspomniane wyprawy nie zdołały jeszcze określić; młody komendant belgijski, de Gerlache, przedsięwziął rozstrzygnąć to ważne zagadnienie — zupełnego poznania naszej planety i jej praw pod wszelkimi względami: geologicznym, zoologicznym, botanicznym, chemicznym, fizycznym, meteorologicznym itd. i ma przekonanie, że będzie w tem szczęśliwszym od swoich poprzedników, ponieważ rozporządza parowcem, gdy Dumont d'Urville, Wedell, Wilkes, Ross mieli do dyspozycji tylko okręty z żaglami i z narzędziami do obserwacji naukowych, znacznie mniej udoskonalonemi, niż te, w które zaopatrzył swą ekspedycję.

Ta ekspedycja jest pod każdym względem znakomicie uorganizowaną; przed kilku tygodniami dzienniki umieściły ocenę pochwalną Nansena, eksploratora bieguna północnego, co do urzędzeń na „La Belgica“ i co do samego komendanta de Gerlache.

Ten ostatni zebrał doskonałą załogę i otoczył się pierwszorzędnym sztabem, który go wspierać będzie odwagą, nauką i inteligencją: porucznikiem belgijskim Lecointe, jako podkomendantem, który służył w marynarce wojennej francuskiej i wypracował doskonały projekt utworzenia marynarki belgijskiej (desideratum króla Leopolda II-go); porucznikiem artylerji Danco, któremu powierzył obserwacje astronomiczne, magnetyczne i dział fotograficzny; polskim geologiem p. Henrykiem Arctowskim, Warszawianinem, pierwszorzędnym uczonym; Rumuńczykiem Jerzym Racowitza, doktorem nauk przyrodniczych uniwersytetu paryskiego; porucznikiem norweskim Amundsen i por. Meelaerts.

Cała Antwerpia wyruszyła na wybrzeża Skeldy — przeszło 20,000 obcych, okrzykami żegnających odważnych podróżników, którzy poświęcić pragną życie na ołtarzu wiedzy. Od godz. 9-ej zrana słyhać wystrzały z dział na wszystkich parowcach portu, flagi wszystkich narodów powiewają na nich i żegnają tryumfalnie młodych misjonarzy, którzy przy schyłku tego stulecia zachowali wiarę w postępie nauki. Steamer „Emeranda“ towarzyszy im aż do granic belgijskich; na nim zajęli miejsce wraz z ministrem spraw wewnętrznych, Schollaertem, członkowie Towarzystw geograficznych: brukselskiego z p. Dufief, sekretarzem, na czele, i antwerpskiego; burmistrz brukselski Buls, prezes akademii nauk, znany podróżopisarz hr. Goblet d'Alviella i przedstawiciele grona komitetu, który zebrał 250,000 franków ze składek publicznych i rządowych

na cele ekspedycji, oraz reprezentanci prasy, nauk, sztuki i armii, do której bohaterowie dnia należą. Bogata pani Osterrieth, z Antwerpii, która wpływała i czynem przyczyniła się do osiągnięcia potrzebnych funduszy, wraz z matką i siostrą de Gerlacha, znajduje się na pokładzie; jej to kosztem odbywa się to pożegnalne przyjęcie. Jeden z promotorów ekspedycji, senator Houzeau de Lehaie, z Mons, wyraża w serdecznych słowach wdzięczność tym wszystkim, którzy dali fundusze na cel tak szlachetny, a szczególnie szanownej matronie, pani Osterrieth, którą przezwano La Mère de l'antarctique.

Chwila pożegnalna się zbliża; Arctowski ściska dłoń sławnego geografą, Elizego Reclusa, z którym długą prowadził rozmowę. Coraz więcej poważniejeso wesoła drużyna. Wzruszenie mimowolnie ogarnia wszystkich w chwili, gdy dopływają do Bath, wioski granicznej, i gdzie ostatnie pożegnanie się odbędzie.

Pancernik holenderski „Eversen“, przysłany przez królową Wilhelminę na powitanie „La Belgica“, wystrzalami zaznacza swoje przybycie; hymn niderlandzki i okrzyki: Vive la Belgica! Vive de Gerlache! Tysiące powiewających chustek i niejedna łza na oku żegnają po raz ostatni ekspedycję antarktyczną belgijską.

Paryskie jaskinie złoczyńców.

Ma Paryż znakomite kawiarnie, niektóre, jak *Café de la Paix*, słynne na świat cały, ma znakomite lokale wina i piwa, ma dobre restauracje, ale ma także swe *assommoirs* czyli jaskinie złoczyńców. —

Słowo „assommoir“ znaczy właściwie „palka w kształcie maczugi“, którą można zabić człowieka i pochodzi od słowa: „assommer“, „zabić maczugą“, „pobić śmiertelnie“. Od czasu znanego romansu Emila Zoli p. t. „L'assommoir“, przechrzczone dawniejsze jaskinie złoczyńców, zwane „cabulots“ na „assommoirs“.

Jaskinie złoczyńców są w Paryżu bardzo liczne, zwłaszcza na przedmieściach. Opis niektórych wyróżniających się jest typowym dla wszystkich.

Wejźmy n. p. do „Château-Rouge“, lokalu położonego w dzielnicy Maubert, tak słynnego, jak ongi Tortona na bulwarach włoskich. *Château-Rouge* znajduje się na podwórzu nieruchomości, której fasada od ulicy malowana w kolorze ciemno-czerwonym przypomina krew z pod gilotyny....

Dziwny zaduch, dym i smród panuje w całej jaskini. Grube, surowe, okopcone belki podtrzymują popękany, czarny sufit. Ściany z szerokimi szczelinami pokryte są grubą warstwą brudu. W pierwszej sali znajduje się około 100 osób, mężczyzn, kobiet, dzieci różnego wieku, pijących, jedzących lub śpiących w barłogu. Robotnicy w bluzach zniszczonych, polatanych krają sztyletem ser włoski lub kieszkę czosnkową, leżącą przed nimi obok kupki soli na prostym, drewnianym, porośłym brudem stole. Obok tych wiktualów paraduje tanie wino. Goście eleganccy lokalu krają dwusiecznym pugiąłem, ostrym jak brzytwa, jakiego zazwyczaj używają złoczyńcy paryscy, flaki na kwaśno lub kotlet z kiszonym ogórkiem, do których

to potraw gospodarz zakładu pożyczyl naczyń, gdyż jadło goście przynoszą ze sobą, a oberza dostawia tylko talerze i napoje. Obok drzemią na ławce zzwierzęciami opoje, łączą z fosów fortecznych grzeją się przy żelaznym, rozpalonym piecu i wypoczywają po spędzonej w zimnie i wietrze na rabunku nocy, młodzież z zarosła włosami twarzą w łachmanach, dziewczęta niedorośle — motloch cały odstraszaający, pogrążony w pijaństwie i zbrodni, w różnokolorowe przyodziany łachmany. —

Środkiem tej jaskini kroczy trzech do czterech kelnerów; zawinięte rękawy świadczą o niezwykłej ich muskularności; niosą obrzynie kubły z winem, które podczas nierzadkich w lokalu bijatyk druzgocą niejedną czaszkę jakby maczugą. Za wyszynkiem siedzi jakoby Jowisz na swym tronie gospodarz albo „patron“, istny Herkules z szeroką, jowialną twarzą. Ze swego wywyższonego siedzenia może przejrzeć wszystkie sale i mieć kontrolę nad wszystkimi gośćmi; w prawej ręce ma nabity rewolwer, aby mógł w razie sporu lub bijatyki wystąpić czynnie z bronią w rękę.

Pierwsza sala jest już zupełnym okazem jaskini zbójckiej, ale jeszcze niczem nie jest, w porównaniu do dwóch sal następnych, w których zbiera się elita paryskich złoczyńców.

Trzecia, ostatnia sala, nosi tytuł „sali senatu“. Widzimy tutaj jako gościa stalego wysoką kobietę, o pięknej figurze z puklami loków w dość eleganckiej toalecie, posiadającą maniere półświatka. Pali z wielką powagą papierosa i mówi językiem poprawnym. Przedtem „gwiazda“ teatru operetkowego, była przez długie lata bardzo poszukiwanym, słynnym modelem dzielniczycy łacińskiej, pozowała do najlepszych utworów sławnych, współczesnych malarzy, zna całą litanią wielkich mistrzów paryskich i opowiada co wieczór po wypiciu co najmniej piętnastego kieliszka absyntu głosem do łez powodującym o śmierci swego kochanka Aleksandra Dumasa syna — którego nie widziała nigdy. — —

Obie tylnie sale mogłyby poczynić straszne odkrycia, gdyby mogły powtórzyć wszystko, co się tam działo.... Goście tych sal widzą się mniej wstrętni z powierzchowności aniżeli goście w sali pierwszej, ale są straszliwi, gdyż pozory mylą... Pijaństwo nie jest tutaj zwykłym pijaństwem, ale nalogowem, kończącym się *delirium tremens*. Tutaj nie przebywają jak tam szumowiny uliczne, ale szumowiny wszelkich więzień śledczych i karnych Paryża.

Opuszczamy z wstętem „Château-Rouge“ i wstępujemy do położonej w sąsiedztwie restauracyi złoczyńców „Bibine“, gdzie spożywamy obiad za 20 fenygów.

Klientelę w tej jaskini stanowią przeważnie publiczne ladacznice i złodzieje okolicznościowi, oraz rzeźmieszki różnego kalibru. Jest tu zwykle taki tłok i ścisk, że goście duszą się jak śledzie w beczce.

Osobliwość tej jaskini stanowią liczne rysunki kredą i fresco — malowidła na ścianach; są to przeważnie główne sceny z romansu Zoli p. t. „Assommoir“.

Freski te są dziełem pędzla różnych malarzy. Pokazywano nam młodą damę, która wykonała niektóre z nich. Niezwykle talentem niezwykłym pracowała dawniej dla żurnali ilu-

strowanych, a pijaństwo i nierząd doprowadziły ją do stanu rozpaczliwego, w jakim ją widzieliśmy.

Mowa weselna grabarza Dumina Pochwały

ze sztuki ludowej

pp. Bolesławskiego i Łaskowskiego
p. t.:

„BIEDA.“ *)

Stoicie przedemną wobec družbów i całej gromady, pożenione w ślubnem połączeniu, dobrane, jak nie przymierzając łopata z rydłem, w parze idące. Ty Floryanie z imienia, a Polowiaku z ojcowskiego przezwiska, i Jagniesko z panięstwa Kwapiszówno, obsiadłego gospodarza córko, po matce i ojcu z imienia Marcynie Kwapiszu.... stoicie oboje z myślami swojemi, abyście wysłuchali co wyrzekę...

Jako bywało na początku, chłop przez baby nikię obęś się nie może, jako i baba przez chłopa, tak i ty Floryanie, staraniem ojcowskim, gospodarski synu, w dobrem zdrowiu żyjący — pojąłeś sobie za małżonkę, tę oto osobliwie wybraną, zeswaną przez zmówiny i zrekowiny do ślubu doprowadzoną, abyś ją sobie ku wszelakiej wygodzie gospodarskiej u męzowskiego boku w chałupie trzymał i na ten przykład, czy przy kuminie, czy w komorze, czy przy gadzinie uganiającą widział... Bierzesz ją sobie i trzymaj... a że w kuźdem stadle w cichości ducha rozrachunek, a obrachunek jest potrzebny... (do płaczących). Nie przeskadzajta! przeto widz o tem, ożeniony Floryanie Polowiaku, że nie bierzesz jej samej, przez przyrodzonego bogactwa... ale z nią razem i świętej ziemi morgów... Siłaż?

(Głos z boku) Sześć.

Cichojsa! morgów sześć, które polanki w staranności miej, a nawozu nie żaluj... bierzesz z nią tu obecną Jagnieską, krów dojnych...

(Głos z boku) Dwie i jałowkę.

Dwie i rocną jałowkę... trzody nierogatej... (do Kundy) Siłaż?

(Głos z boku) Maciore i drobiazgu seścioro...

Maciore i drobiazgu seścioro, które w pielegnacyi razem z kobitą trzymoj, abyś się pożytku i wygody w kiskach a kielbasach docekał.

Bierzesz z nią miłość i posłuszeństwo przyrzeczone, statki domowe jak się patrzy, urodę, na psa ńrok, i oblecenie odświętne, na ten przykład, chustki i zapaski, welnioki — do kobiecego przyodziewku przydatne (do kobiet). Cichojsa! Bierzesz to wszystko po ślubnej woli razem z pościelą... dajecie pościel?

(Głos z boku) A ino! poduszek dwie i pierzynkę.

Cichojsa! Wszystko po ślubnej woli poduszek dwie i pierzynkę, abyś w pościeli i w miękkości i ciepłe opływał, zanim się własnych gęsi i innego drobiu dochowaś... O, zatknąłem się... I ty stojąca na widoku Jagniesko, która się w kobiecym stanie Florkowo zwać będziesz, wysłuchaj na ten przykład głosu mojego i spojrzj na oblubieńca zaprzysiężonego wdzięcznym sercem i laskawością, jako na chłopa z gospodarskich rodziców zrodzonego... nie ułomka,

*) Sztukę tę przedstawia Towarzystwo poznańskie dramatyczne obecnie z wielkim powodzeniem w Warszawie w teatrze letnim „Odeonie“.

któremuś posanowanie winna, bo cię z panięstwa wywiódł i na małżeńskim gościńcu cię wyprowadził. Cichojsa ludy! nich sknuć! Spojrzj na niego i bac... że jako teraz przy tobie stoi, tak stać ma do końca żywota swojego, który to kuniec w chrześcijańskim narodzie pogrzebem się nazywo, a parom małżeńskim rozłączenie a wdowieństwo daje. Nie bec, nie poplakuj, Jagniesko zaślubiona, bo ci się żadna krzywda nie dzieje, jenoś charakteru małżeńskiego nabrała, a powagi kobiecej. A jako powiedziano i napisano: „puścis ojca i matkę, a pójdziesz za chłopem za dziesiątą górę.“ Nie poplakuj, boć nawet nijak w oddaleniu od ojców iść wam nie potraza, skoro w chałupie po Jankach... Jakże?

(Głos z boku) Takby się patrzało.

Skoro w chałupie po Jankach siedzieć, gospodarzyć, w zdrowiu, w potomstwie, w zasobności... przy wszelkiej godzinie żywota małżeńskiego dokonywać będziecie. Amen!

A tom się zziajał!...

Z tygodnia na tydzień.

Kochany Redaktorze!

Prosisz mnie, abym ci skreślił pogadankę dla twej milej „Pracy“. Owszem, ale uprzedzam z góry, że czytelnicy twoi, którym nie zbywa wcale na żyłce twórczej (co wnoszę z tak częstych odpowiedzi od Redakcyi w sprawie nadesłanych wierszy) poznają się na mnie i odrazu powiedzą, że nie zwyczajny jeździec na tym koniku i dlatego może nie zdołam z powagą doprowadzić mej pogadanki do końca ku uciesze czytelników.

— Ale przecież masz głowę na karku, kochany przyjacielu — rzekniesz do mnie, widząc że z zamierzonej pogadanki wybrnąć jakoś nie mogę. Zgada. Wiem, że głowę na karku jeszcze mam, ale też wiem, że aż nazbyt często ludziom z głową na karku przytrafiają się takie rzeczy, że i waryatom by trudno tego dokazać. A dzieje się to zwykle wtedy gdy się biorą, jak ja np., do nieswoich rzeczy.

Dyplomacya europejska lepszą przecież ma głowę; a nie może jakoś wywiązać się z zadania tak prostego, jak obsadzenie posady generalnego gubernatora na Krecie. A przecież ofiarowanie komu wcale niezłej a korzystnej posadki nie musi być rzeczą tak trudną. Bo, że posadka jest korzystną, dowodem liczba kandydatów, którzyby chętnie podjęli ten ciężar i włożyli go na swe barki. Nasamprzód były prezydent związku Szwajcarskiego, p. Numa Droz, potem ks. Ludwik Napoleon Bonaparte, któremu, jak twierdzi „Figaro“, podobną ofertę zrobiono ze strony tureckiej. Zdaje się jednak, że ani jeden, ani drugi z tych kandydatów nie pojedzie na Kretę, a to dlatego, że prusacy, „powołani mocą historii do szerzenia cywilizacyi na Wschodzie“ — to zdanie często się spotyka w gazetach berlińskich — chcieliby na stanowisku gubernatora ujrzeć swego rodaka. Jednem słowem, pomimo głowy na karku dyplomatów europejskich kwestya wschodnia ani z miejsca ruszyć nie może. Ale co tam się będę męszal do polityki i wchodził w kolizję z mym kolegą od polityki? Niechże tam się wzdzi na

rozwiązaniem powikłań politycznych; — ja tam wolę podzielić się z Wami innego rodzaju wrażeniami. Oto jestem zapałonym amatorem jazdy na kolowcu — a prócz tej żyłki, która sama przez się już jest niebezpieczną, charakter mój wykazuje niezwykle pociąg ku pięknym twarzyczkom kobiecym. Wszystko dobrze, póki te dwie słabostki idą z sobą w parze, ale gdy się spotkają, wtedy brr... Gdy sobie wspomnę, chwytam się mimowoli za moje skaleczone kolano.

Jak się to stało? zapytacie. W bardzo prosty sposób. Otóż pędzę sobie po szosie z wichrem w zawody i głaszczę mojego stalowego rumaka po błyszczącej jego szyi, a tu spotykam po drodze jedną, drugą, trzecią ładną cyklistkę — aż mi się zaćmiło w oczach oglądam się za nią, — a była to śliczna blondyneczka — aż tu naraz rów, bęc, woda, błoto, ból w kolanie, przekleństwo, pocięty rower i znikająca w dali piękna cyklistka — z mozołem gramoląc się z rowu przekląłem w tej chwili (wybaczenie mi piękne czytelniczki) wszystkie ładne buziaki.

Wracając do domu, miałem zamiar natychmiast udać się do Ameryki, gdzie istnieje jedyne na całej kuli ziemskiej miasteczko wolne od zwodniczych wdzięków płci niewieściej. Nazywa się ono Aliceton. Mowy ludzkiej w miasteczku owem prawie nie słychać, chyba w szkole, na kazaniu w kościele, no — i na targu czasem rozbrzmiewają jednozgłoskowe dźwięki. A miasteczko liczy jednak przeszło trzy tysiące mieszkańców. Cóż za powód tej ciszy? — zapytasz szanowny czytelniku. Oto w miasteczku Aliceton niema wcale kobiet, ale to ani na pokaz. Założone parę lat temu przez grono ludzi bezzemnych, które przyjęło sobie za zasadę, iż w granicę nowej osady wpuszczać będzie jedynie kawalerów lub wdowców, ale tych ostatnich tylko z synami, bez córek. Mieszkańcy Alicetonu zajmują się głównie wyrobem serów, a te nawet zdobyły sobie w Stanach rozgłos. W tedy brak kobiet jest przyczyną tej ciszy trwałej i stałej, zarówno w domach, jak i na ulicach. Być może, iż kiedyś ci zacięci wrogowie kobiet zmienią swe przekonania i zechcą podzielić swą dolę i niedolę z przedstawicielkami piękniejszej połowy rodu ludzkiego. Wówczas zniknie w Alicetonie cisza i spokój, a zapanuje szyk i elegancja, bo pomimo swych zalet, owa szczególniejszego rodzaju mięścina odznacza się brakiem wszelkiej dbałości o piękno.

Kończę więc komplementem dla pań. O to mi tylko chodziło. O, bo o łaski pań dbać trzeba zawsze — najpotężniejsze to bowiem główki — nietylko w polityce i dziennikarstwie.

Wasz oddany
Brr...

BEZ SKAZY.

Bez plamki, żyłki, albo skazy
Być może tylko głaz:
Kochać się można tysiąc razy,
Lecz kochać — tylko raz.

Schylają w słońca zmierzch powoje
Swych wonnych listki głów,
A gdy powraca, barwne zwoje
Kielichów wznoszą znów.

Lecz powój, chociaż życiem płonie
Napróżno by się krył,
Bo zdradza zmarszczki na obsłonie,
Że kiedyś zwiędłym był.

I ludzkie serce zawiedzione
Przystępne pociech snom,
Lecz dni, rozkoszą ubarwione
Na wieki zniszczył grom.

Nie wiosna to, lecz sztuczna, nikła
Omamień dawnych nie;
Lecz piersi, która życie przywykła,
Nie dosyć sztucznie żyć.

Więc pierzechną złudne te obrazy,
Nie leczy śmierci — czas;
Kochać się można tysiąc razy,
Lecz kochać — tylko raz!

Józef Kościelski.

Rozmaitości.

Niemiec o Polce. W ilustrowanym tygodniku „*All Deutschland*“ znajdujemy piękną ilustrację Jankowskiego, przedstawiającą dorodną parę, tańczącą mazurą i wyjaśnienie, które brzmi jak następuje: »Polski taniec narodowy. U różnych narodów przybrał tańce jak najrozmaitsze formy. W każdej przeciw formie zaznacza się charakter odnośnego narodu. Najznamienniejszym rysem w charakterze Polaków jest rycerskość, która najlepiej wydatnia się w tańcu. Polka zasługuje na najwyższy szacunek i uwielbienie, zaliczając się, jak uznano powszechnie, do jednego z idealów europejskich piękności. Powierzchność jej posiada coś olśniewającego, mianowicie przez spokojne, prawie klasyczne rysy twarzy. Polka posiada charakter energiczny, w miłości i niewiści nie przebiera w środkach. Świeżość jej umysłu sprawia, że w każdej sytuacji zachowuje zadziwiająca przytomność i wytrwałość. Uroczą Polka stanowi wszędzie punkt środkowy, słońce, około którego cały świat towarzyski dobrowolnie się obraca. Co za uroczy kontrast pomiędzy jej bladą cerą a zarem w jej dużych, czarnych oczach! Co za elastyczna, w szlachetnym rytmie poruszająca się postać, którą przedstawiamy w naszym obrazku. Trzeba widzieć tę drobną, posuwistym krokiem stającą nóżką, aby zrozumieć poetę polskiego, który szczęśliwym nazywa bruk, który dotyka ta nóżka sylfidy«.

Kopalnie siarki. Współpracownik pisma rzymskiego „*Tribuna*“ zwiedził niedawno kopalnie siarki pod Campobello, w prowincji sycylijskiej, Girgenti, celem naocznego przekonania się o położeniu tamtejszych robotników, i ot, jaki ponury skreśla obraz: »W ciągu mojej kariery dziennikarskiej bywałem już świadkiem najokropniejszych zjawisk rozmaitego rodzaju, tak we Włoszech, jak za granicą, widywałem rozstrzelania, wieszania, bitwy, ale żaden widok nie wstrząsnął mną tak do głębi, jak wczorajszy. Praca w kopalniach siarki wykonywana jest przeważnie przez t. zw. *picconieri*, którzy motyką wydobywają minerał ze skały. Każdy z tych wyrębywaczy ma do rozporządzenia jednego lub dwóch chłopców, zwyczaj w wieku od lat 8 do 15-tu, którzy noszą minerał z głębokich galerii przez wąskie szyby na powierzchnię ziemi. Tych chłopców kupuje on, dając w zamian ich rodzicom 100 do 150 lirów w zbożu lub mące. Dopóki ta suma nie zostanie odrobiona, rozporządza dziećmi,

jak niewolnikami, i niema nikogo, komu by na myśl wpadło zaprotestować przeciw temu. Ponieważ biedne dzieciaki przy 12-tu godzinach pracy dziennej zarabiają tylko około 50 cent., które nadto wydawane im są w najgorszej mące, obliczanej po niesłychanie wysokich cenach, przeto mijają lata, zanim skończy się to bezprzykładne niewolnictwo. Pożywienie tych chłopców stanowią cebula i chleb. Wino jest dla nich trunkiem całkiem nieznanym, a wodę do picia muszą sobie przynieść zdaleka. Wydaje się nieprawdopodobnym niemal, że chłopcy w tych latach i tak odżywiani mogą 25 razy dziennie, nosząc 40—50 kłgr., wdrapywać się w górę po złych stopniach z szybu głębokiego przeszło 100 metrów. Przekonałem się wszakże o tem naocznie, sam zeszedłem przez wązki korytarz podziemny i widziałem, jak, pochylone pod ciężarem, drżące z wysiłku, dzieci mijają mnie, szlochając, tak, że poruszony do głębi tą grozą, jaka mnie otaczała, sam się rozplakałem! A po takiej pracy nie czeka nawet *carusa* — tak się nazywają młodociani niewolnicy — porządny nocleg; na ziemi w grocie może ułożyć do snu swoje okaleczone ciało. Oczywiście rzecz, że biedni *carusi* są pod względem fizycznym nędznymi stworzeniami. Plecy ich zgarbione, nogi powykrzywiane, oczy zapadłe, a czoło porane głębokimi brózdami. Z ramion i pleców mają zdartą skórę, a pęcherze i rany pokrywają ich ciało. Lecz na tem nie kończą się cierpienia biednych *carusi*; panowie ich — *picconieri* — obchodzą się z nimi w najokrutniejszy sposób; zdarza się, że zabijają jednego kijem, jak psa, innego zaś na śmierć zdepczą nogami. Los przestępcy, skazanego na dożywotnie galery, jest godnym zazdrości, wobec losu ośmioletniego *caruso* w kopalniach siarki w Girgenti!«

Złote myśli.

Bogactwo bez nauki, to serce bez miłości.

Dla mądrego cudze przygody bywają przestroga.

Niepowodzenie łamie charaktery słabe, lecz zolbrzymia silne, jak wichur gasi świecę, ale rozplomienia ogień.

Nie ten dobry co nas chwali, ale prawdę w oczy pali.

Wiadomości.

„Prace“

która zapisana jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86) **najwygodniej zamówić na pocztę.**

Przedpłata na wrzesień wynosi

tylko 34 fen.

Życzeńych nam Czytelników upraszamy o łaskawe poparcie naszego pisma w gronie krewnych, przyjaciół i znajomych, zachęcając ich do liczonej przedpłaty w interesie wspólnej sprawy. —

Każdy, kto tylko zażąda, otrzyma bezpłatnie i franko kilka numerów „Pracy“ na okaz, lub też celem rozdania takowych pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

Aby liczni nasi przedpłaciele tak na obczyźnie jak też za granicą pismo nasze najpóźniej w niedzielę

rano czytać mogli, ekspedyować będziemy odtąd „Pracę“ na pocztę nie jak dotychczas w sobotę przed południem, ale już w piątek przed południem tak, że przedpłaściciele na prowincyi już w sobotę, a przedpłaściciele na obczyźnie i za granicą najpóźniej w niedzielę rano będą mogli odebrać pismo nasze z poczty, na co zwracamy baczną uwagę Szanownych przedpłaścicieli.

Za spokój duszy założyciela »Gońca Wielkopolskiego«, wielkiego patrioty i wybitnego publicysty wielkopolskiego, ś. p. Dr. Ludwika Rzepeckiego odbyła się dnia 26 b. m. w Poznaniu msza św. w kościele św. Marcina, w obec wypełnionego wiernymi kościoła. W nr. 193 podał »Gońca Wielkopolski« udatną rycinę pięknego pomnika, dzieła naszego słynnego wielkopolskiego artysty-rzeźbiarza, p. Władysława Marcinkowskiego, postawionego na cmentarzu Świętomarcińskim (starym) staraniem przyjaciół zmarłego. Pomnik świadczy o wdzięczności społeczeństwa za długoletnią, ciężką a wytrwale pełnioną służbę narodową.

Teatr prowincjonalny. Pan Majdrowicz, kierownik teatru prowincjonalnego, przybył do naszego miasta ze swoją drużyną po dziesięćmiesięcznej wędrowce, celem wypoczynku. Pierwszy rok dyrekcji jego był kłopotliwy i wymagał sprężystej pracy, przyniósł jednak piękne rezultaty, których tylko powinszować można. Towarzystwo objechało w tym czasie 46 miast tak w Księstwie, jako i w Kongresówce i dało razem 227 przedstawień. Ogólny dochód wynosił 42 tysiące marek, pokrył wszelkie wydatki i jeszcze pozostawił pewien zasób na przyszłość. Prócz tego pan Majdrowicz ma już znaczny zapas pięknej garderoby, i innych przyborów scenicznych. Na jesień wyjeżdża sympatyczne towarzystwo na pewien czas do Królestwa Polskiego, poczem powróci znów do naszej dzielnicy.

Na liczne zapytania odpowiadamy, iż komedijkę, drukowaną w »Pracy« p. t. »Za nic żydowskie swaty« nabyć można tylko u autora, p. Feliksa Bobowskiego w Sztumie, Prusy Zachodnie.

Zeszłej soboty, o godzinie 5 tej z południa odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru w lasku w Solczu, położonym w pobliżu Poznania, pan Hipolit Robiński, właściciel składu win przy ul. św. Marcina. Pozostawia żonę i troje dzieci.

Zmarły był człowiekiem zamożnym, zdolnym kupcem i zręcznym przemysłowcem, uprzejmym dla swych odbiorców; liczył lat mało co nad 40. Coś popchnęło go do samobójstwa, dotąd niewiadomo.

I pocztowe urzędy i elektrotechnicy namyślają się nad tem, w jaki sposób zmienićby opłatę od używania telefonów. Chcą żeby nie płacono pewnej sumy ryczałtowej, tylko żeby płacono za czas rozmowy. Są takie gaduły telefonowe, co od rana do wieczora urzędników w ruch wprawiają i te tyle też płacą, ile grzeźniejsi kupcy, co tylko ze 400 razy na miesiąc urzędników fatygują. Odnośna kontrola telefoniczna musiałaby być dowcipnie obmyślana.

Zapytanie! Józefa Walczaka rodem z Małych Gaiątek pod Sobótką, w pow. Ostrowskim poszukuje żona jego, z domu Kowalska. Podobno ma się znajdować w okolicy Śremu lub Środy. Ktoby wiedział o jego pobycie niechaj zechce mi donieść. Polikarp Kowalski. Lipsk (Leipzig) Tow. Robotników Polskich »Bratnia Pomoc« Dorothenstr. nr. 5. Wszystkie życzliwe pisma proszę o powtórzenie!

Jeżyce. Budowniczy p. Ludwik Frankiewicz z Poznania nabył od współwłaściciela fa-

bryki tytoniu p. Ganowicza, za 40,000 mk. grunt położony przy ul. Berlińskiej l. 117. — Kupiec p. F. Raczkowski z Poznania nabył dom w Jeżycach od mistrza murarskiego i ciesielskiego p. Jakubowskiego za 28,000 marek. — Budowę kościoła katolickiego w Jeżycach oddano na terminie submisyjnym mistrzowi murarskiemu i ciesielskiemu p. Bajonowi z Jeżyc.

Środa. Pan Zakrzewski sprzedał swe dominium Puszczykowo, obejmujące 900 mórg obszaru, dziedzicowi Hoffmayerowi z Kobylepola.

Strzelno. Miasto nasze posiada dziś jeden z największych w swoim rodzaju zakładów przemysłowych w Niemczech, a w Księstwie może największy, parową cegielnią pana W. Szudy. Fabryka ta, założona kosztem mniej więcej pół miliona marek, nie jest jeszcze zupełnie skończoną, dotychczas wyrabia tylko cegłę zwyczajną, ale niezadługo znacznie wyrabiać także dachówkę, cegłę do wykładania frontów i inne rodzaje takich wyrobów.

Inowrocław. Kamienicę pani Wandy Yohr, położoną obok fabryki Petzold Company, nabył dyrektor tejże fabryki, p. Czarlinski za 54 500 marek.

Kozmin. Kamienicę przy ulicy Mularskiej, należąca do piekarza p. Skowrońskiego, kupił w tych dniach mistrz szewski p. Senkowski za 3375 marak.

Rogoźno. Gospodarz p. Majewski w Studzieniu sprzedał grunt swój za 21,400 marek gospodarzowi p. Brzyckiemu ze Strzyczewa.

Leszno. Dziedzic p. Rychłowski z Drobnina sprzedał swój lasek, obejmujący około 12 mórg obszaru, za 21,000 marek pewnemu tutejszemu stelmachowi.

Czarnków. Hotel dawniej Szukalskiego w Rynku, należący do p. Pawła Wenskyego, nabył za 51,000 marek restaurator dworcowy, p. Pilarski z Żnina.

Z Prus Zachodnich. Pan Leon Rybiński, senior obywatelstwa zachodnio-pruskiego zdaje piękny majątek swój, Dębieniec p. Radzynie, siostrzeńcowi swemu panu Eustachemu Działowskiemu.

Z Starogardzkiego. Posiadłość Czarnowskiego z Rukocina nabył p. Claassen z Mokrego dworu za 93 tysiące marek.

Wąbrzeźno. Zeszłej niedzieli obchodził ks. prałat papięski, dziekan i proboszcz wąbrzeski, lic. Polomski uroczystość 25-letniego urzędowania proboszczowskiego w Wąbrzeźnie. Uroczystość odbyła się wspaniale i świadczyła o wysokim szacunku, przywiązaniu i wdzięczności ze strony parafian. Daj Boże przewiel. ks. prałatowi jeszcze przez długie lata sił i zdrowia do dalszej pracy!

Miasto Lipsk sposobni się do obchodu jubileuszu 400 rocznicy zaprowadzenia słynnego na cały świat jarmarku lipskiego t. zw. »Leipziger Messen«. Przywilej tych »mes«, które z czasem stały się wszechświatowymi i które miasto Lipsk do dzisiejszego doprowadziły rozkwitu, nadał cesarz Maksymilian.

Ruch w Towarzystwach.

Walne zebranie Związku Towarzystw organistówskich odbędzie się w czwartek, dnia 2-go września r. b. w Gnieźnie.

Walne zebranie Kółek rolniczych odbędzie się: 1) z powiatów ostrzeszowskiego i kepzińskiego w Ostrzeszowie, dnia 29 b. m. o godz. 3 po południu; 2) z odolanowskiego i ostrowskiego, dnia 30 b. m. o godzinie 11 przed południem w Ostrowie, na sali pani Hofmańskiej. Na oba zebrania przybędzie Patron.

Chleb dla swoich.

Przemysłowcom i kupcom zwracamy uwagę na Chodzież. Miasto to podnosi się ogromnie wskutek założenia tam nowej fabryki wyrobów porcelanowych, która z czasem zatrudniać będzie do 1000 robotników.

W Ujściu może się osiedlić **Polak, fryzyer-balwierz.** Egzystencją ma zapewnioną, gdyż tu tylko jest jeden Niemiec fryzyer, a dotychczas było dwóch fryzyerów i to Polak i Niemiec.

Kupiec-bławatnik, któryby chciał osiedlić się w jednym z większych miast Księstwa, niechaj zgłosi się po bliższe szczegóły do Administracji »Gońca Wielkopolskiego«.

Obrona prawna.

Dla lokatorów. Ponieważ w obecnym czasie odbywają się wędrowki poszukujących nowych mieszkań, i zawierac się będą nowe umowy na mieszkania, więc przypominamy ważny wyrok sądu rzeszy w sprawie ważności kontraktu mieszkalnego. Według tego wyroku lokatorowi wolno zerwać kontrakt z właścicielem domu, i wyprowadzić się przed umówionym terminem, jeżeli powstające podczas dzierżawy braki i niedogodności dojdą do takich rozmiarów, iż mieszkanie stanie się przez to niestósownem do celu, w którym je wynajęto. Jeżeli niedogodności dadzą usunąć się w stósunkowo niedługim czasie, zrywać kontraktu nie wolno. Lokator zobowiązany jest zwracać właścicielowi domu dopóki czas jeszcze, uwagę na powstające podczas dzierżawy uszkodzenia i braki, tak aby można je naprawić. Dopiero jeżeli właściciel domu mimo domagań się lokatora, nie usunie niedogodności, które mieszkanie czynią niestósownem do wynajętego celu, wolno się wyprowadzić.

Ważne dla czeladników rzemieślniczych. Pewien bydgoski mistrz bednarski zaskarżył swego czeladnika o zerwanie kontraktu i o wynagrodzenie wyrządzonej mu przez to szkody, ponieważ czeladnik po tygodniu pracy u niego, porzucił takową i wyjechał do Berlina. Czładnik twierdził, że nie popełnił nic złego, ponieważ jest to ogólnym zwyczajem, że czeladnikom wolno w przeciągu pierwszych 14 dni po objęciu nowego miejsca samowolnie każdej chwili takowe opuścić, gdy mu się nie podoba. Sąd przemysłowy orzekł jednakże, że z wyjątkiem bynajmniej w obec prawa i sądu nie obowiązują, chyba wtedy, gdy czeladnik zastrzegł sobie z góry przy umowie taki warunek. Gdy tego nie uczynił wolno mu opuścić pracę jedynie za 2 tygodniowem wypowiedzeniem. To też sąd skazał w tym wypadku czładnika na odszkodowanie majstra.

Rady i wskazówki.

Pozbycie się mrówek. Plagę naszych spiżarni stanowią nieraz mrówki, których trudno się pozbyć. Kamfora stanowi dobry przeciw nim środek, ale ma tę ujemną stronę, że wiktuały przechodzą silną jej wonią. Skutecznym także środkiem jest kładzenie na półkach lepików od cygar; mrówki nie znoszą zapachu tytoniu, dosyć jest trzymać w spiżarni otwarte pudełko od cygar, aby owady te zupełnie wystraszyć.

Poznańska Introligatornia, Poznań, ul. Wodna nr. 2 I^{sz}e piętro spiesznie i tanim wykonaniu.

Sos grzybkowy angielski. Sos ten bardzo łatwy do sporządzenia, zachowuje się dobrze i doskonale udziela smaku grzybów potrawom, do których się dodaje. Wziąwszy dowolną ilość grzybków lub pieczarek, oczyszcza się je, układa w garnku niepolewanym warstwami naprzemian z solą, pozostawia tak przez dwa lub trzy dni, dodaje na każde pół klgr., grzybków małą cebulę, cztery gwoździki, cokolwiek cynamonu i galki muszkatowej; wyciska, precedza i zachowuje w flasce dobrze zakorkowanej.

Wynalazki.

Lorneta Roentgena. Takim mianem ochrzczono wynalazek, dokonany świeżo przez pewnego Francuza, który przedewszystkiem da się we znaki przemysłownikom, gdyż przy jego pomocy będzie można dokładnie przejrzeć każdy przedmiot, a więc kufer, pudło, paczkę itd. Prasa francuska szeroko rozpisuje się o nowym wynalazku, a w tych dniach zaprosił wynalazca do Paryża, licznych sprawozdawców, wobec których dokonywał prób, które wypadły nadszperdzianiem pomyślnie. Przedstawiono pomiędzy innymi pewną damę i za pomocą lornety Roentgena przejrzano jej na wylot suknie, dostrzegając ukrytą w nich butelkę. Nowy wynalazek zaprowadzono już na rozmaitych urzędach cłowych paryskich.

Kapelusze dla koni podczas upałów letnich wprowadzono w Londynie. Nowość ta została już dawniej zastosowana w Bordeaux, gdzie corocznie kilkanaście koni tramwajowych padało od porażenia słonecznego. Kapelusze są słomiane z otworami dla uszu końskich. Londyńskie Towarzystwo opieki nad zwierzętami zamówiło dużą ilość takich kapeluszy.

Wystawy.

Wystawa kucharska projektowana jest w Warszawie. Projekt poruszono w gronie członków Towarzystwa dobroczynności, na którego dochód wystawa byłaby urządzoną. Do opracowania planu wystawy zaproszeni być mają starsi cechu kucharzy, kilku znanych kuchmistrzów, oraz panie: Cwierciakiewiczowa i Szumińska, przedstawicielki naszej literatury gastronomicznej. W razie przyjęcia projektu do skutku, wystawa odbyłaby się w marcu 1898 roku.

Międzynarodową wystawę ogierów urządziła sekcyja chowu koni Towarzystwa rolniczego w Wiedniu pod protektoratem arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este. Wystawa ta odbędzie się w dniach od 16 do 19 października włącznie, w Praterze na własnym placu obok Rotundy. Udział w niej brać mogą wystawcy tak austriacy jak i zagraniczni. Zgłoszenia należy nadesłać najpóźniej do 1 października r. b. na osobnych formularzach, które na żądanie wysyła sekcyja chowu koni Towarzystwa rolniczego w Wiedniu (I. Herrengasse 73). Tam też można zasięgnąć wszelkich bliższych informacji.

Informacje, dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Licytacje

Licytacja drzewa sosnowego, budelcowego i szczeponowego z nadleśniczością w Obornikach odbędzie się dn. 6 września począwszy od godz. 10 przed południem w hotelu p. Festa w Obornikach. O bliższych szczegółach dowiedzieć się można u król. nadleśniczego w Kowanowie nad Obornikami.

Submisye.

Dyrekcya zakładu obłakanych w Owińskach rozpisuje wielką submisję na dostawę różnych artykułów spożywczych, mydła, materii na ubrania, skóry na obuwie, petroleum, świec i t. p. Oferty opieczetowane nadsyłać należy do dn. 4 września do biura wzmiankowanej dyrekcji, która na żądanie nadesła odpis warunków submisyjnych za przesłaniem 1 mk. na kosztu biurowe.

Subhasty.

Nieruchomość kupca p. Jerzego Włodarskiego z Poznania, położona w Pobiedziskach pod nr. 292, dn. 21 września w sądzie okręgowym w Pobiedziskach. — Nieruchomość wdowy, pani Berty, Pauliny, Fryderyki Kraetschmann z domu Baumann z Poznania, położona w Poznaniu na Chwaliszewie pod nr. 124 (dawniej 139) dn. 28 września w sądzie okręgowym w Poznaniu. — Dnia 4 października sprzedana zostanie w sądzie inowrocławskim posiadłość małżonków Wincentego i Maryanny Mazgajów, położona przy ul. Panny Maryi nr. 17.

Zniesienie subhast.

Subhasta dóbr rycerskich Ostrowa pod Lopiennem, własności p. Chrzanowskiego, zniesiona. Sąd okręgowy w Wągrowcu powiadamia, że wyznaczony w tym celu termin w dniach 31 b. m. i 1 września r. b. się nie odbędzie.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Pan Sylwester Paruszewski i żona Marya z domu Paruszewska, dawniej w Rzeszkowie, w powiecie wyrzyskim, obecnie zamieszkali w Poznaniu. — Piekarz, p. Feliks Datkiewicz i panna Maryanna Góraczewska, oboje z Poznania. — Mistrz piekarski, p. Edward Sobczyński z św. Łazarza i panna Stanisława Palacz z Jeżyc. — Mistrz rzeźnicki, p. Leon Drożdżewski z Jeżyc i panna Stanisława Schubert. — Fryzjer, p. Feliks Kamiński i żona Władysława z domu Koralewska z Poznania. — Zawiadowca gorzelni, p. Roman Buszkiewicz z Bytnia i panna Joanna Hartkopf z Nowejwsi pod Kazimierzem. — Piekarz, p. Stanisław Rajewicz i żona Anna z domu Nowak z Zakrzewka w powiecie szamotulskim. — Inspektor gospodarczy, p. Mieczysław Kotkowski i panna Marta Sieredzka oboje ze Śremu. — Mistrz kotlarski, p. A. Ambroszkiewicz z Jarocina i panna Marta Liersch z Gniezna.

Gospodarstwo.

Przeciwno biegunce u cieląt okazał się następujący środek w wielu przypadkach skutecznym: Bierze się jaje, kieliszek rumu, połowę galki muszkatołowej miarko utartej i tyle pszennej mąki, że się z tego utworzy gęste ciasto, które się rozdziela na trzy równe porcje i daje cielęciu rano, w południe i wieczorem.

Ogrodownictwo.

Drzewa czereśniowe i wiśniowe chorują w roku bieżącym w wielkiej liczbie. Profesor dr. S. Sorauer zbadał tę chorobę i ogłasza, że ona powstaje skutkiem rozmnożenia się grzybka — zwanego Monilia, który nie jest nowością, i który rozrasta się na drzewach skutkiem wilgoci.

Rolnictwo.

Wczesne podoranie ścierniska ma znaczne korzyści: 1) Rolę orze się łatwiej; 2) Rola mniej wysycha; 3) Grunt się przez to ulepsza; 4) Zielsko staje się nieszkodliwe.

Jarzyny.

Błędnem jest mniemanie, że potrzebnem jest ogolnienie z liści selery, buraków i innych roślin główkowych. Owóz doświadczenie wykazało, że roślina rośnie nie tylko przez korzeń, ale także przez liście, które zarówno jak żołądek i płuca u zwierząt przerabiają materyażywną, czyniąc ją zdolną do utrzymania rośliny, zatem liście trzeba zostawić przy roślinie dopóki same nie żółkną.

Pszczelnictwo.

Jakiego koloru kwiaty dla pszczoł są najpożądane? Naturalista angielski, Lubbock, chcąc się przekonać, jakie kolory są najulubieńsze dla pszczoł, dawał im pożywienie na kawałkach szkła, rozmaicie zabarwionych. Kilkakrotnie powtórzone doświadczenia wykazały, że pszczoły błękitny kolor przekładają nad wszystkie inne, najchętniej więc odwiedzają niebieskie kwiaty. Drugie miejsce zajmuje u nich kolor biały, trzecie różowy, czwarte czerwony, potem żółty, fioletoowy, najmniej zaś lubią zielony. Pszczoły potrafią rozróżniać barwy, przekonano się, że nawet wrażliwsze są na ich odcienie niż ludzie.

Ptactwo.

Podskubywanie gęsi nie powinno być dreczeniem ptactwa. Najcenniejszem i najtrwałszem jest pierze w dojrzałym stanie mniej więcej we wrześniu i w tym czasie podskubywanie nie sprawia też żadnych bóli. Przed podskubaniem zaleca się letnią kąpiel, poczem trzeba gęsi chronić przed zaziębieniem i dobrze żywić, aby pierze wnet odrosło.

Sprawozdania handlowe.

O żniwach tegorocznych piszą z powiatu Bydgoskiego: Żyto obrodziło się lepiej, aniżeli w zeszłym roku, pszenicy jest dość dużo, ale sprzęt nie zadawalnia pod względem obroci; owies i jęczmień wypadły mniej więcej tak jak roku zeszłego, groch bardzo rozmaicie — zależnie od okolic. Wogóle rolnicy są zadowoleni.

Żniwa w Galicyi są w pełnym toku. Pogoda niestała utrudnia zbiory. Zbiór żyta nie będzie obfity, pszenica lepsza, niż żyto, jakkolwiek zaszkodziła jej rdza. Jęczmień nie zapowiada się dobrze. Owies doskonały. Rzepak już zebrano; zbiór średni, a po części zły. Najgorzej przedstawiają się ziemniaki.

Nieurodzaj w Rosyi. Z najnowszego sprawozdania urzędowego ministerstwa skarbu o stanie zasiewów w Rosyi okazuje się, że w wielu bardzo miejscowościach cesarstwa spodziewany jest w roku bieżącym nieurodzaj.

Chmiel. Sprzęt rychłych gatunków chmielu rozpoczął się już na dobre w południowo-niemieckich okręgach produkcji tej rośliny. Nowy towar przedstawia się dość dobrze; wykazuje jednak znaczne różnice pod względem dojrzałości i stopnia suchości. Najlepiej wygląda rychły chmiel wirtemberski i badeński. Tegoroczny wyborowy chmiel wirtemberski notowano na ostatnim targu w Norymberdze od 150—160 mk.; średni od 130 do 140 mk. W Anglii stan tamtejszych plantacji polepszył się skutkiem ostatnich deszczów; wogóle jednak widoki tegorocznego zbioru nie są tam zbyt korzystne.

Zapraszamy do przedpłaty
na
miesiąc Wrzesień

Humorystyka.

DO BISMARKA.

Jeden z wybitniejszych mężów napisał do Bismarka w czasie jego słynnej antikatolickiej borby następujący lakoniczny bilecik:

„Oby ci djabeł wlaził z nożem do brzucha, obkrapiał ci tłuszcz z wnętrzości i zrobił z niego świecę, by ci świecić na wieczne... potępienie!”

Wioślarz.

Jechał żydek raz koleja
W świątecznym chałacie,
Bowiem podróż tę odbywał
Przy świętym sabacie.
Miał przed sobą szaflik z wodą
W czasie całej drogi,
I przez cały czas w nim trzymał
Wraz z butami nogi.
Aż podróżny nagle jakiś
Na biedaka natarł:
„Czemu trzymasz nogi w wodzie,
Czy pragniesz mieć katar?”
„Wiesz pan — odrzekł na to żydek
Ze smutnym wyglądem:
Nam nie wolno w dzień sabatu
Jeździć nigdy łądem,
A że pilny mam interes
Do miasteczka „Krzaki”,
To ja jadę sobie wodą,
Bo ja wioślarz taki!”

W restauracji w Poznaniu.

Kelner: Co sobie pan życzy?

Gość: Chciałbym coś taniego zjeść tak, żeby się to oba końce schodziły.

Kelner: Dobrze Panie Dobrodzieju! przyniosę zapę z ogona wołowego i kawalek wołowego ozora.

Miodowe miesiące.

— Cóż taki wesoly?

— Bo będę miał teraz miodowe miesiące.

— Jakto? wszak od kilku lat jesteś żonaty.

— Tak, ale moja żona dopiero po raz pierwszy wyjeżdża na letnie mieszkanie.

Amor i Psyche.

Raz szła wieczorem,
Psyche z Amorem
Pod rączkę...

I Psyche rzecze:
— Kup mi człowiecze
Obrączkę!

Amor zaś na to:
— Luba Agato,
Nie głupim!

Słodkie karmelki,
A koszt niewielki,
Te kupim...

W warsztacie.

— Proszę pana majstra, piszą o nas w gazetach, że jesteśmy niesłowni.

— Kłamstwo i fałsz! Ja z majstrem Onufrym od dwudziestu siedmiu lat chodzę co niedziela o 11 rano na flaki i nie było jeszcze ani razu zdarzenia, żebym się o pięć minut spóźnił. To taka jest moja niesłowność!!

Z pieśni sielskich.

Ciszą tchnie, pokojem słodkim,
Okolica cała sielska...
Poszła Magda dla prosiaczków
Kiele płotu narwać zielska.

I szedł drogą młody Adam
I, minawszy gęste dęby,
Rzekł: — Jak widzisz mnie żywego,
Musisz, dziewczko, dać mi gęby.

Magda trzepnie go przez kryżę,
Chłopiec krzyknął aż „o rety!”
I zgniewany machnął Magdę
Biczem... Spokój znikł, niestety.

Słysząc srogie wymyślenia,
Kiele płotu ode zielska;
I już nie tchnie, jako przedtem,
Ciszą — okolica sielska.

Zbyteczne.

Na zebraniu Towarzystwa dobroczynności przybliżyło się dwóch panów do słynnego skąpca. „Żałuję”, odezwał się tenże, że mogą tylko drobnostkę wam ofiarować. „Za wszystko będziemy ci wdzięczni”, odezwał się jeden z nich, „odaj nam to, co uważasz za zbyteczne dla siebie...”. „Ach, wybornie się składa”, odpowiedział skąpiec, „to co wam dać mogę, a co właśnie uważam za zbyteczne dla siebie, jest wasze towarzystwo”.

Zapytanie.

— Jaki klucz najłatwiej otwiera serca kobiet i kieszenie bogaczy?

— Tenorowy.

Zasady życia.

Trzy są zasady życia tworzące porządek:
Pełna kieszeń, kark giętki i strawny żo-
[ładek,

Kto je zdobyć potrafi, niech na pewno liczy,
Że sławę, pokój, szczęście otrzyma w zdo-
[byczy.

Pusta kieszeń, kark twardy, wątroba draż-
[liwa,

To fatalność! Złe wszelkie zawsze ztąd
[wypływa,

I nie było wypadku, by z temi przymioty,
Człek pozyskał coś więcej... prócz biedy...
[i cnoty,

Będzie się wił i kręcił — niby Tantal
[w męce,
Mając serce za wielkie — a za krótkie ręce!

ZASADA.

Lepiej używać, niż marzyć, śnić —
Oto jest wzniosła zasada:
Lepiej być brzuchem, niż głową być,
Głowa się męczy — brzuch zjada.

O! TEN HYMEN!

Niech nikt nad tem zdaniem bardzo
Głowy swojej nie wyteżę:
Dzisiaj mąż nie bierze żony,
Żona dziś nie bierze męża...

Gdzie się żeni goły facet
Z izraelską odaliską,
To ślub biorą tam nie ludzie,
Lecz kapitał i nazwisko...

Gdy wychodzi za wieśniaka
Miejska pełna kras dziewica —
To zaślubia Krzywą Wólkę
Trzypiętrowa kamienica.

Kiedy Wojtek do Maryny
Swoich swatów wysła z trunkiem —
To się żenić tam zamierza,
Gospodarka z opierunkiem...

Gdy się żeni dziad schorzały,
Choć mu w żyłach krew nie zagra —
To nie żenią się tam ludzie,
Ale z garde-malade — podagra!

Więc nikt niechaj nad tem zdaniem
Głowy zbyt nie wyteżę,
Je dziś mąż nie bierze żony,
Żona zaś nie bierze męża.

W sercach ludzkich dzisiaj pusto,
Jak w wiosenny czas w stodole,
I w hymenu sprawach miłość
Marną dziś odgrywa rolę!

NA WSI.

— Mężu! rzekła mocno rachunkowa magnifka — przyjmuj sobie, kogo chcesz, z gości w niedzielę, nie mam nic przeciwko temu, od tego jest wieś, ale tych dwóch cyklistów, którzy przyjeżdżają do ciebie, stanowczo zabraniam przyjmować.

— Zmiłuj się, żoneczko! to takie porządne chłopaki.

— A tak! porządne chłopaki! Jak się wytrzęsą na tych swoich kołach, tak później przy obiedzie niczego im nigdy nastarczyć nie można.

W cukierni w Poznaniu.

— Widzicie, pojedynek ks. orleańskiego z hr. Turynu był ostry. Obadwaj zostali zranieni.

— Szkoda, że spotkanie nie odbyło się w Dębnie po poznańsku.

— Dlaczego?

— Jeden postrzeliby wroną, siedzącą na drzewie, drugi skaleczyłby jaką rybę w nurtach Warty, a potem, w najlepszym zdrowiu, przeciwnicy razem z sekundantami udaliby się na doskonałe śniadanie z szampitrem.

